

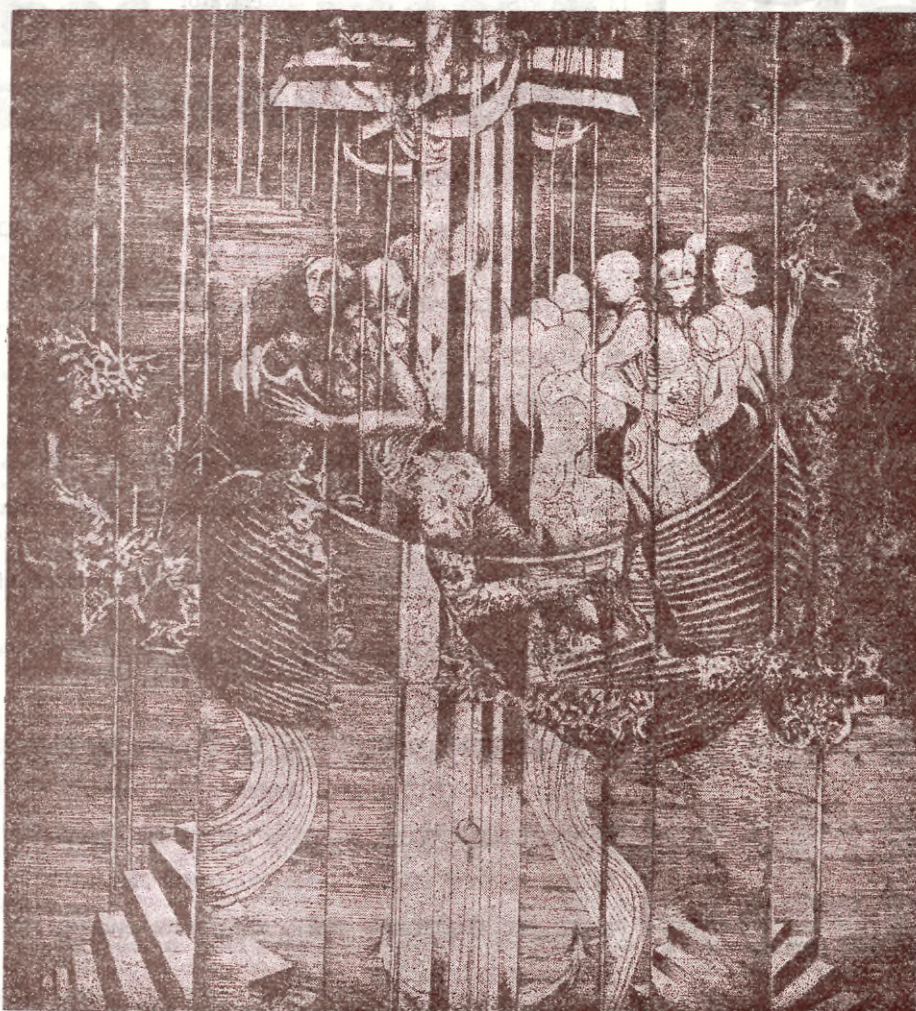
**HUBERTA SKRZYPCZAKA
STARCIE POZA RINGIEM**

POMERANIA

**WRZESIEŃ
1985 Nr**

9

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



Roman Wapiński o stosunku elit politycznych do Pomorza

Bolesław Fac o kaszubskich wątkach u Güntera Grassa

Jerzy Samp o ośmiu wiekach katedry oliwskiej



Rok zał. 1963

Nr 9 (149)

Na okładce: Ryszard Stryjec
Pro memoria (akwaforta i sztych)

REDAGUJE ZESPÓŁ:

Zbigniew Gach
Stanisław Janke
Wojciech Kiedrowski
(redaktor naczelny)
Krystyna Puzdrowska
(sekretarz redakcji)
Edmund Szczesiak

KOLEGIUM REDAKCYJNE:

Eugeniusz Gołąbk
Jerzy Kiedrowski
Wojciech Kiedrowski
Stanisław Pestka
Barbara Pisarek
Edmund Puzdrowski
Krystyna Puzdrowska
Jerzy Samp

ADRES REDAKCJI:

Długi Targ 8/10, 80-828 Gdańsk
tel. 31-36-56
Konto PKO Gdańsk 19510-5890-132

WYDAWCA:

Zarząd Główny
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego
Prenumerata na rok 1985:
roczna 720 zł, półroczna 360 zł,
kwartalna 180 zł.
Pojedynczy egzemplarz 60 zł.

INDEKS 37193

PL ISSN 0238-9045

Nakład 4000

Druk. Zakłady Graficzne w Gdańsku
Zam. 858. E-1

W numerze:

- 1 ROMAN WAPIŃSKI — Elity polityczne wobec Pomorza i ruchu kaszubsko-pomorskiego
- 4 TADEUSZ BOLDUAN — List do uczestników XII Spotkań
- 5 KAZIMIERZ SOPUCH — (Jak dawno...)
- 6 JERZY SAMP — Kolebka i mogiła
- 9 PAWEŁ ZBIERSKI — Szloch Jeziora Wdzydzkiego
- 9 ZDZISŁAW OSSOWSKI — (ostatnia noc)
- 10 BOLESŁAW FAC — O kaszubskich wątkach w twórczości Günтера Grassa
- 12 EDMUND SZCZESIAK — Czajka
- 13 STANISŁAW JANKE — Obserwator
- 14 STANISŁAW JANKE — Starcie bez ringu
- 15 HENRYK GALUS — Wartość wykształcenia
- 18 Z długiej chwili. Z JULIANEM ZABOROWSKIM rozmawia EDMUND SZCZESIAK
- 19 PIĘĆ DZIUR W JEDNEJ DZIURZE. Z RYSZARDEM LANDOWSKIM rozmawia STANISŁAW JANKE
- 20 RYSZARD LANDOWSKI — Sprówczi Smętka
- 21 EDMUND PUZDROWSKI — Stryjec wspaniały
- 22 TADEUSZ LIPSKI — Krzyż
- 22 JERZY ŁYSK — Zabrónióm ce; Někóm we wid
- 23 EWA CZERNIAKOWSKA — Słowniki Krzysztofa Celestyna Mrongowiusza
- 25 TADEUSZ KRZYSZTOF — Armator kaszubski Klemens Długi
- 26 RYSZARD LANDOWSKI — Glëna
- 27 T. L. — Sobótka AD 1985
- 27 EUGENIUSZ GOŁĄBK — Żecé, technika, knézczi
- 28 MAREK CYBULSKI — Wspomnienia belfra
- 28 WOJCIECH WIŁA — Mapa kultów religijnych
- 29 BOLESŁAW BORK — Marchowsczié Jezora
- 30 JERZY TREDER — Kaszubska frazeologia (14)
- 31 Kleka* Z życia Zrzeszenia
- 32 KS. LEON KUCHTA — Z kałédórza przëslówi o swiętich
- 34 E. Sz. — Siekierą i nożem

Drogi Czytelniku. Prenumeratę „Pomeranii” przyjmują placówki pocztowe i „Ruchu” na obszarze całego kraju. Prenumerata przyjmowana jest na ogólnych zasadach, od osób indywidualnych i instytucji do dnia 10 listopada 1985 r. Otrzymywanie „Pomeranii” zabezpiecza także wpłata (na dowolny okres czasowy) na konto Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego — PKO Gdańsk 19510-5890-132. Wysokość prenumeraty 720, — (rocznie), 360, — (półrocznie), 180, — (kwartalnie).

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania materiałów nie zamówionych.

Tak gorącej wymiany poglądów nie mieliśmy już dawno! Tegoroczne, XII Spotkania Publicystyczne (1–2 czerwiec, Zjazd „Burczybas” w Dzierżążnie) wszyscy uczestnicy, w liczbie 28, ocenili jako wyjątkowo udane, twórcze, poszerzające horyzonty wiedzy o naszym regionie. Temat: „Elity polityczne wobec Pomorza i ruchu kaszubsko-pomorskiego” okazał się zaczynem dyskusji nie słabnącej również w kularach czy nawet przy posiłkach.

Osią programu był wykład prof. dra hab. Romana Wapińskiego, wielowarstwowo nakreślający problematykę zawartą w temacie (drugi prelegent, Tadeusz Bolduan, ze względu na chorobę nie mógł przybyć do Dzierżążna, przesłał nato-

miast list, który odczytał Edmund Szczesiak; list ten, z niewielkimi skrótami, publikujemy obok). Następnie kolejno wypowiadali się dyskutanci — formułujący swe refleksje akceptująco, polemizując bądź uzupełniając względem tez prelegenta. Prof. Wapiński zgodził się udostępnić nam swe przemyślenia w uporządkowanej formie pisemnej, po uwzględnieniu pytań i przyczynków podniesionych w dyskusji. Plonem tego zobowiązania jest szkic, który ze względu na objętość zmuszeni byliśmy podzielić na trzy części. Poniżej drukujemy część pierwszą. Następne dwie ukażą się w 10 i 11 numerze „Pomeranii”. W 11 numerze zamieścimy także obszerniejszą relację z dyskusji.

Red.

Elity polityczne wobec Pomorza i ruchu kaszubsko-pomorskiego

Roman Wapiński

Na początek kilka wyjaśnień i uściśleń, precyzujących zakres przedmiotowy i chronologiczny tej wypowiedzi. Jej celem jest próba zarysowania wstępnej odpowiedzi na pytanie: jakie miejsce w koncepcjach i poczynaniach polskich elit politycznych zajmowały Pomorze i występujący na jego terenie ruch regionalny w ostatnich dziesięcioleciach XIX i w pierwszych pięciu wieku XX? Możliwości dania w miarę wyczerpującej odpowiedzi na tak sformułowane pytanie są w tej chwili nader ograniczone, nawet gdyby abstrahować od ograniczeń, jakie stwarzają ramy artykułu¹. Po pierwsze, decyduje o tym słabość naszego poznania tej problematyki badawczej. Po drugie, w toku jej analizy napotykamy na liczne trudności warsztatowe i terminologiczne. Dość tu wspomnieć, że braku nam instrumentów umożliwiających precyzyjne poznanie stanu świadomości społecznej, a ona właśnie jest w tym wypadku jednym z głównych przedmiotów badań.

Nie są też jednoznacznie rozumiane takie terminy, jak elita i region. Dla uniknięcia nieporozumień pragnę stwierdzić, że rozróżniam generalnie dwa rodzaje elit: rzeczywiste, tj. takie, które składają się z ludzi dysponujących rzeczywistym autorytetem przynajmniej wśród części grup społecznych lub politycznych, i kreowane (instytucjonalne), które swe powstanie zawdzięczają tylko uczestnictwu w państwowych, partyjnych i innych instytucjonalnych gremiach kierowniczych². Poza tym możemy rozróżniać elity ogólnonarodowe (ogólnopaństwowe), regionalne i lokalne, miasta, miasteczka i wsi, podobnie jak różnego typu (pułapu) środowiska przywódcze i opiniotwórcze. One bowiem — w moim przekonaniu — tworzą elity. Natomiast region wyróżniam zgodnie z interpretacją Stanisława Ossowskiego, według którego: „Region w tym sensie, który wchodzi w grę w naszych rozważaniach, tzn. w sensie socjologicznym, jest korelatem regionalnej zbiorowości. A regionalna zbiorowość to zbiorowość terytorialna, która ma w większym lub mniejszym stopniu poczucie swej odrębności, ale nie uważa się za naród; inaczej mówiąc, jej członkowie nie próbują przypisywać swej zbiorowości arcybutów narodu. Zazwyczaj taka zbiorowość stanowi składnik jakiejś zbiorowości narodowej”³. Tak pojętym regionem przez większość interesującego nas okresu było terytorium zwane Pomorzem Gdańskim, Pomorzem Nadwiślańskim lub po prostu polskim Pomorzem, którego granice były w zasadzie zgodne z granicami prowincji Prusy Zachodnie. Na przełomie XIX i XX w. dla jego określenia używano także nazwy

historycznej: Prusy Królewskie. W obrębie tego regionu zaznaczał jednak swe istnienie i kolejny region, wyraźnie wyodrębniający się, w postaci Kaszub⁴.

To poczucie odrębności, o którym pisał Ossowski, może w sprzyjających warunkach politycznych i kulturowych na tyle ulec wzmocnieniu, że więź regionalna nabierze cech więzi ideologicznej w pełnym tego słowa znaczeniu, a ojczyzna regionalna (prywatna) przekształci się w ojczyznę ideologiczną (narodową). Nie podejmując tu nawet próby zasygnalizowania tego typu relacji, szczególnie ważnych dla regionów kresowych, położonych peryferyjnie⁵, zwrócę jedynie uwagę na skutki braku niepodległości i rozbicia jedności ziem polskich w dobie kształtowania się nowoczesnego narodu polskiego. Okres, na który zwróciłem główną uwagę w tym artykule, wydaje się najbardziej interesujący dla tej problematyki badawczej. Po rok 1939 utrzymują się wścisłkie regiony, jakie ukształtowały się ostatecznie⁶ na ziemiach polskich i ich pograniczach. Natomiast po II wojnie i masowych ruchach migracyjnych lat 1945–1946 znaczna ich część ulega faktycznej likwidacji. Poza tym Polska, podobnie jak cały świat, jest po II wojnie diametralnie inną niż była bezpośrednio po odzyskaniu niepodległości. Tendencje centralistyczne, które wyraźnie nasiliły się w latach trzydziestych, po 1945 r. wystąpiły z jeszcze większą siłą. Obok zmian terytorialnych doszło do zasadniczych zmian w układzie narodowościowym — trudnym do przecenienia przemianom uległ sam naród. Wreszcie na bardziej pobieżne, obarczone większą hipotetycznością sądów ujęcie lat II wojny i począt-

1. Wystarczy porównać objętość artykułu z objętością monografii W. Wrzesińskiego „Warmia i Mazury w polskiej myśli politycznej 1864–1945” (Warszawa 1984), poświęconą zbliżonej problematyce badawczej.

2. Szerzej o tym: R. Wapiński, Kultura polityczna w Polsce w latach 1918–1939, rozdz. I–II, praca przyjęta do druku przez Wydawnictwo Łódzkie. Zob. też: J. Słoboda, Historyk wobec problemów badania elit. (Przegląd problematyki badawczej), „Historyka”, t. XIV, 1984, s. 27–46.

3. S. Ossowski, Zagadnienie więzi regionalnej i więzi narodowej na Śląsku Opolskim, w: Dzieła, t. III. Warszawa 1967, s. 252.

4. Por.: H. Popowska-Taborska, Kaszubszczyzna. Zarys dziejów. Warszawa 1980; R. Wapiński, Historia regionalna a narodowa, „Komunikaty Mazursko-Warmińskie”, 1978, nr 2, 155–169.

5. Nieco więcej uwagi tej problematyce poświęciłem w artykule pt. „Między ojczyznami prywatnymi i ideologicznymi”, złożonym do „Zeszytów Naukowych Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Gdańskiego”.

6. Ostatecznie, gdyż w wielu przypadkach źródła odrębności tkwiły w okresie przedrozbiorowym.

ków Polski Ludowej wpłynął mniej jeszcze zaawansowany stan badań.

1. Do wyraźnego wzrostu zainteresowania Pomorzem, podobnie jak Śląskiem, doszło u schyłku XIX w. Najogólniej rzecz biorąc, przyczyn tego zjawiska należy szukać w dwóch sferach odniesień. Pierwszą z nich określało ponowne ożywienie poczynań politycznych sensu stricto, znajdujące swój wyraz między innymi w powstaniu w latach dziewięćdziesiątych XIX w. wszystkich charakterystycznych dla późniejszych dziejów Polski ugrupowań i obozów politycznych. Gros spośród nich za zasadniczy cel swych poczynań uznawało walkę o odzyskanie przez Polskę niepodległości, a to skłaniało do konkretyzacji obszarów aspiracji terytorialnych i do poświęcenia większej uwagi regionom kresowym. Drugą sferę odniesień, współbieżną zresztą z pierwszą, tworzyły te przemiany zachodzące w obrębie społeczeństwa polskiego, które swój główny wyraz znajdowały we wzroście udziału mas ludowych w życiu politycznym, a które — jeżeli można się tak wyrazić — pomnażały siły narodowe. Najbardziej przy tym, jak się wydaje, współczesnym rzucił się w oczy dynamizm polskich poczynań narodowych na ziemiach dzielnic pruskich. Korzystne generalnie dla polskości wyniki Kulturbundu⁷, rozwój polskich stowarzyszeń gospodarczych i oświatowych, wzrastająca zamożność ludności polskiej tej dzielnicy — sprzyjały zwiększeniu zainteresowań kresami zachodnimi. Uznanie dla ich prężności wyrażali przy tym nie tylko ci, którzy w sposób szczególnie zafascynowani byli „ludem” i jego instynktem narodowym⁸. Dość tu odwołać się do opinii, jaką wyraził 13 listopada 1883 r. w swym tygodniowym felietonie Bolesław Prus, omawiając politykę germanizacyjną. „Polaków — pisał — wynarodowić nie można; można tylko za pomocą sztucznych środków odsunąć ich od Niemców bardziej, niżby to wypływało z różnic rasowych i historycznych, lagodzonych zresztą przez bliskie sąsiedztwo i cywilizacyjne kojarzenie się interesów. Tak samo nie można sztucznie upodobnić Polaków do Niemców, lecz — na odwrót — można na tej drodze powiększyć liczbę naturalnych różnic. W utrzymaniu swojej narodowości Polacy nie potrzebują odwoływać się do edyktów i złamanych obietnic, ponieważ mają za sobą prawa natury, z którymi walczą Niemcy i przez które muszą być pokonani. W końcu Polacy nie potrzebują liczyć na niczyje łaski, ustępstwa i protekcje; ich protekto-rem jest nieugięty bieg wypadków, a sprzymierzeńcem — czas”⁹.

Zestawienie powszechności udziału ludności polskiej w walce z polityką germanizacyjną w dzielnicy pruskiej z elitaryzmem ruchu polskiego na kresach wschodnich — w sposób mniej lub bardziej świadomy — wpływało na akcentowanie przez część współczesnych szczególnie ważności kresów zachodnich. Główną w tym zakresie rolę odegrała publicystyka Jana Ludwika Popławskiego, rozwijana pierwotnie na łamach warszawskiego „Głosu”, a następnie na łamach „Przeglądu Wschodniego”. Warto tu jednak zaznaczyć, że to akcentowanie przez niego szczególnie ważności kresów zachodnich, ich etnicznej rodzimoci, nie przeszkadzało mu w głoszeniu potrzeby walki na obu frontach: zachodnim i wschodnim, sięgającym po Dźwinę, Dniepr i Morze Czarne. Poza ciśnieniem dziedzictwa Polski przedrozbiorowej, granic z 1772 r., trudny do przecenienia wpływ na zajęcie takiego stanowiska, jak sądzę, wywarły i inne czynniki. Wspomnę tu tylko o wpływie utrzymywania się i na Zachodzie i na Wschodzie pograniczny narodowościowy; przy czym na Wschodzie sięgały one dalej, podobnie jak ojczyzny prywatnie części ludności polskiej; oraz o trudnościach pogodzenia wizji postulowanej Polski wielkiej i silnej z ówczesnymi realiami etnicznymi i politycznymi.

Wschód, z mniej wyraźnie zarysowanym rozgraniczeniem polskiego stanu zasiedlenia, wydawał się terenem łatwiejszym dla ekspansji, przy czym argumentów szukano nie tylko w historii. Część z nich dostarczyli geografowie, dość zgodnie stwierdzając, że wyraźniej wyodrębniony obszar, pod względem warunków naturalnych, na jakim znajduje się Polska, mieści się między Bałtykiem a łukiem Karpat

i Morzem Czarnym — z jednej strony, a Odrą — Nysą Łużycką i Dźwiną — Dnieprem — z drugiej strony¹⁰. Część z nich zwracała przy tym uwagę na to, że rozwojowi Polski na wschodzie w większym stopniu sprzyjały warunki naturalne. Zdaniem Eugeniusza Romera: „Rozwój terytorium Polski ku zachodowi nie opierał się natomiast na tak szerokich naturalnych podstawach. (...) Wszystkie rzeki od Niemna do Renu, przepływając przez nią, mają siatkę wodną zbudowaną według jednolitego planu, otrzymują bowiem swe główne dopływy z prawego brzegu, jednak Odrę znamionuje ta cecha w stopniu wyjątkowym; od ujścia Nisy Łużyckiej i skrótu Odry ku północy nie otrzymuje Odra, z wyjątkiem nieznacznych wód ściekowych, żadnego dopływu. Nie wskazywała więc Odra na ekspansję ku zachodowi, a była raczej wielką obronną linią państwa, które przyroda ziemi parła ku wschodowi”¹¹.

Swego rodzaju dylemat, który mniej lub bardziej świadomie dostrzegany był przez część współczesnych, dotyczący rozbieżności między wizją Polski wielkiej a realiami etnicznymi i politycznymi, określał także propozycje rozwiązań konkretnych. Niektórych, jak Popławskiego czy Romana Dmowskiego, skłaniał do przyjęcia dwóch wariantów przyszłych rozwiązań terytorialnych. Pierwszy, podstawowy, obejmował te ziemie, których wejście w skład przyszłego państwa polskiego traktowano jako warunek sine qua non jego trwałości i bezpieczeństwa. Drugi wariant obejmował natomiast te obszary, o które powinno się walczyć, by kiedyś, w sytuacji sprzyjającej, włączyć je do Polski. Za ziemie, które muszą wejść w jej skład, uznano: Królestwo Polskie, Galicję, Śląsk austriacki, Śląsk pruski, Wielkopolskę i Pomorze. Wariant drugi obejmował Warmię i Mazury oraz pozostałą część zaboru rosyjskiego. Innych działaczy, odległych od akceptacji nacjonalistycznej wizji przyszłego państwa, trudności pogodzenia aspiracji z realiami skłaniały do rezygnacji z prób precyzowania programu terytorialnego. Dość często ograniczano się do wysuwania hasła walki o niepodległość, pomijając kwestię, o jakie terytorium ma się walczyć.

Analizując wizje terytorialne przyszłej Polski, te z przełomu stuleci, można dojść do wniosku, że wszystkie one, niezależnie od tego, kto je wysuwał, obejmowały: Królestwo Polskie, Galicję Zachodnią, Wielkopolskę i część Śląska pruskiego. Był to — jeżeli można tak powiedzieć — program małej Polski, akceptowany przez niemal wszystkie siły polityczne. W latach następnych, w dużej mierze dzięki sukcesom ruchu polskiego w Wielkopolsce i na Pomorzu w walce o ziemię, program ten został wzbogacony o Pomorze. Równocześnie jednak w latach 1908—1914 (głównie w związku z zarysowywującym się konfliktem między państwami zaborczymi, rodzącym nadzieję na uzyskanie w bliskim stosunkowo czasie wyraźniejszego postępu w rozwiązywaniu sprawy narodowej, w zbliżeniu się do upragnionej niepodległości) program ten przez część elit został jakby zapomniany. Brak szans na odbudowę w najbliższym czasie zjednoczonego i w pełni suwerennego państwa polskiego, ówczesne środowiska przywódcze nie mogły bowiem przewidzieć klęski państw zaborczych i wybuchu w nich rewolucji, skłonił do szukania rozwiązań, które, traktowane jako cząstkowe, w dalszej perspektywie czasowej miały przynieść pełne rozwiązanie sprawy narodowej.

Wybór orientacji, takim bowiem mianem obdarzono ujawnione wtedy propozycje rozwiązań, determinowany był przede wszystkim dwoma przesłankami:

7. Zbyt chyba słabo dostrzega się związek między Kulturbundem, czy też innymi przejawami zastrzeżenia polityki germanizacyjnej, a rozwojem polskiej świadomości narodowej. A przecież zastrzeżenie to rozbiło poczucie lokalnej swojskości i zmuszało do jednoznacznych wyborów: po stronie polskiej lub niemieckiej.

8. Zob.: R. Zimand, „Dekantyzm” warszawski. Warszawa 1964.

9. B. Prus, Kroniki, t. VI. Warszawa 1957, s. 370.

10. Szerzej zob.: R. Wapiński, Kresy: alternatywa czy zależność, w: Kresy w polskiej myśli politycznej. Wrocław 1985, s. 19—56; tenże, Kultura polityczna w Polsce w latach 1918—1939, rozdz. III.

11. E. Romer, Geograficzne położenie ziem polskich, w: Geografia fizyczna ziem polskich i charakterystyka fizyczna ludności. Kraków 1912, s. 7—8.

któ, Rosja czy Niemcy, stanowią główne zagrożenie dla interesów narodu polskiego, oraz co jest aktualnie ważniejsze: polepszenie położenia w jednej dzielnicy czy zjednoczenie ziem polskich. Przyjmując pierwszą z tych alternatyw, tj. uznanie głównego zagrożenia w Rosji i dążenie do wyzwolenia spod jej panowania Królestwa oraz przynajmniej części pozostałego obszaru zaboru rosyjskiego, siłą rzeczy odsuwało na plan dalszy sprawę ziem polskich dzielnicy pruskiej. Zwolennicy tej orientacji musieli bowiem szukać oparcia w państwach centralnych, a więc i w Niemczech.

Druga z wymienionych orientacji, znajdująca główny swój wyraz w ocenie, iż wrogiem nr 1 są Niemcy, akcentująca równocześnie wzrastającą od nich zależność Austro-Węgry, musiała z kolei oparcie widzieć w Rosji. Rzecznicy tej orientacji liczyli między innymi na to, że Rosja jest jedynym z państw zaborczych, które dążą do wysunięcia swych granic na Zachód i nadania im bardziej bezpiecznego kształtu, może doprowadzić do skupienia całości ziem objętych polskimi aspiracjami w ramach jednego organizmu państwowego. Nie podejmując się tu pełniejszej analizy tej orientacji, w części przeprowadzonej już wcześniej¹², ograniczę się jedynie do zwrócenia uwagi na dwa fakty. Po pierwsze na to, że wspomniane rachuby na zjednoczenie ziem polskich w ramach Rosji okazały się trafne. Już bowiem w pierwszych miesiącach wojny światowej uległy ujawnieniu aspiracje rosyjskie zaokrąglenia granic na Zachodzie. Po drugie na to, że czołowy rzecznik tej orientacji, Roman Dmowski, nie był mniej antyrosyjski od czołowego rzecznika pierwszej ze wspomnianych orientacji, Józefa Piłsudskiego. Można jedynie powiedzieć, że jego antyrosyjskość miała inny odcień i skłaniała go do postawienia innej diagnozy. Wychodząc z założenia, że Niemcy są groźniejsze od Rosji, politycznie i cywilizacyjnie, wybrał orientację na Rosję, licząc, iż Rosja, wówczas wewnętrznie bardzo słaba, nie zdoła zapanować nad aspiracjami zjednoczonego w jej granicach narodu polskiego.

2. To wysunięcie na plan pierwszy walki o zjednoczenie, a nie wywalczania bądź ograniczonej suwerenności dla części zaboru rosyjskiego, bądź wybrania rozwiązania austro-polskiego, w mniejszym lub większym stopniu było też determinowane obawami przed utratą pełnej tożsamości narodowej części regionów, szczególnie tych, które wchodziły w skład ziem polskich dzielnicy pruskiej. Pomińmy tu kwestię, na ile te obawy były uzasadnione, a na ile nie. Istotne jest przede wszystkim to, że je żywiono, a ich występowanie było między innymi usprawiedliwione tym, że regiony te słabiej zaznały swą obecność zarówno w polskiej myśli politycznej, jak i w tym, co można by chyba obdarzyć mianem mitologii narodowej. Były one, między innymi Pomorze, mniej — jeżeli można tak powiedzieć — swojskie.

Przyjmując jako pewnik, że Polska jest położona między Bałtykiem a Karpatami, nie popelni się chyba zasadniczego błędu stwierdzając, iż świadomość tego nie była zbyt pełna. Jeżeli nawet fakt ten konstatawano, to w okresie poprzedzającym wybuch I wojny światowej owo sięganie po Bałtyk nieco rozplywało się w nieokreśloność. Myślę, że warto uciec się tu do porównania obecności w świadomości niemałej części politycznie aktywniejszych Polaków Tatr-Karpat i Bałtyku. Te pierwsze w tym okresie były już w tej świadomości zadomowione. Formowali ich obraz — jak zauważa badacz tej problematyki — amator romantyczno-historyczny, amator malowniczej podróży, pozytywistyczny scjentyista, turysta, taternik, letnik i bywalec zakopiańskiej kawiarni¹³. Wprawdzie znamienity dla Młodej Polski „głód przestrzeni” wyrażany był nie tylko w wierszach tatrzańskich, nie brakło też licznych wierszy o tematyce morskiej, ale ich rezonans społeczny był inny. Nie możemy o żadnej z miejscowości położonej na polskim wybrzeżu Bałtyku wypowiedzieć takiej opinii, odnoszącej się do schyłku XIX w., jaką zawarł w przywoływanej już pracy Jacek Kolbuszewski: „Życie środowiska arty-

stycznego i intelektualnego w Zakopanem miało także osobliwy i odmienny niż gdzie indziej kształt obyczajowy, co wywarło ogromny wpływ na wzrost popularności i »europelizację« Zakopanego”¹⁴. Dodajmy jeszcze, że na umocnienie się obecności Tatr-Karpat, a w ślad za nimi góralszczyzny, w potocznej świadomości Polaków wpłynął również fakt ich położenia w dzielnicy cieszącej się autonomią narodową. W Zakopanem bywali nie tylko artyści, ale także działacze polityczni. W początkach XX w. było ono miejscem licznych spotkań politycznych, w znacznej części międzyzaborowych.

Jeżeli przychylić się nawet do tych opinii, które akcentują obecność Bałtyku (przypływu) jako fenomenu w ówczesnej twórczości literackiej, to i tak — jak sądzę — należy dojść do wniosku, że nie towarzyszyły temu fascynacje położonym nad nim regionem, zbliżone do tych, które dały o sobie znać w wypadku Podhala. W twórczości tej pojawia się się wprawdzie wątek pomorski, jak np. u Tadeusza Micińskiego¹⁵, ale — jeżeli można tak powiedzieć — pozbawiony on jest cech konkretności. Nie spotykamy się z obecnością w niej Kaszub i ich folkloru, a one przecież, w wymiarze ziem polskich i ich styku z Bałtykiem, spełniały rolę analogiczną do tej, jaką odgrywało Podhale w styku z Karpatami-Tatrami. W moim przekonaniu można się niemal w pełni zgodzić z Bernardem Chrzanowskim, że: „Ani w malarstwie, ani w poezji czy powieści naszej — morza i nadmorskiego kaszubskiego brzegu jak gdyby nie było”¹⁶. Nie tworzyli o tym regionie ludzie z innych dzielnic, a miejscowi, tak z Pomorza, jak i całej dzielnicy pruskiej, mniej lub bardziej świadomie podzieleni poglądem, któremu Chrzanowski dał wyraz zwracając się w 1912 r. do działaczy oświatowych tej dzielnicy: „U nas każda wiedza winna służyć narodowi, oświecać ludu, być altruistyczną. Sybarytyzm duchowy, nadmierne upodobania estetyczne, to rozrzutność w czasach dzisiejszych. Gdy rabują nam zboże, trudno zajmować się kwiatami, gdy ziemię, język, dusze nam zabierają, nie czas na egoistyczne duchowe zbytki”¹⁷.

Obraz Kaszub w latach poprzedzających odzyskanie niepodległości niemal wyłącznie zawarty był w publicystyce politycznej i folklorystycznej, a i tej nie było zbyt wiele. W Kaszubach widziano na ogół potomków dawnych Pomorzan, lud wytrwały, ale pozbawiony większej przedsiębiorczości. „Ludność kaszubska — pisał w 1892 r. Józef Łęgowski — od samych początków swego pobytu nad morzem Bałtyckim ograniczała się do łowienia drobnych rybek nadbrzeżnych, w większych przedsiębiorstwach zamorskich nie wyrabiała w sobie hartu i sprężystości, ani nie pomnażała swego dorobku, gdy więc w późniejszych wiekach królowie polscy ogłosili Puck portem wojennym, nie znaleźli w ludności miejscowej żadnego punktu oparcia, a w sąsiednim Gdańsku niebezpiecznego mieli konkurenta”¹⁸.

Upatrując w Kaszubach potomków Pomorzan, podkreślano jednak przede wszystkim ich swojskość, wchodzenie ich w skład jednej wielkiej rodziny polskiej. Cytowany już Łęgowski, pisząc o zmianach zachodzących w gwarze kaszubskiej, stwierdzał między innymi: „Że te zmiany odbywały się zgodnie z duchem języka naszego, wynika z poprzednich przykładów i jest nowym dowodem, że gwara kaszubska jest gwarą języka polskiego, chociaż stoi nieco na uboczu, tak, jak ziemia kaszubska na skraju dawnej Polski leżała”¹⁹. Podobny ton dźwięczy w wypowiedzi Chrzanowskiego: „Przyjedzie kto z Sandomierskiego do Oksywia, a tu go żniwiarze tak jak tam wiązą i pozdrawiają. Słyszysz kto gdzieś

12. Zob.: R. Wapiński, *Narodowa Demokracja 1893–1939. Ze studiów nad dziejami myśli nacjonalistycznej*. Wrocław 1980.

13. J. Kolbuszewski, *Tatry w literaturze polskiej*. Kraków 1982, s. 10.

14. *Ibid.*, s. 248.

15. Por.: T. Linkner, *U źródeł myśli bałtyckiej Tadeusza Micińskiego*, „Odra” 1985, nr 6, s. 55–60.

16. B. Chrzanowski, *Z wybrzeża i o wybrzeżu*. Poznań 1917, s. 37.

17. Cyt. za: S. Papę, *Kwiaty na ugorze. Rzecz o współczesnej kulturze Wielkopolski*. Poznań 1929, s. 15.

18. J. Łęgowski, *Kaszuby i Kociewie*. Poznań 1892, s. 27.

19. *Ibid.*, s. 21–22.

List do uczestników XII Spotkań

„(...) Być może jestem w błędzie, ale sądzę, że niezależnie od ukształtowanych warunków politycznych wewnątrz kraju i od ustroju, elity polityczne (a z nimi władze polityczne niższych szczebli) ustosunkowywały się do ruchu kaszubsko-pomorskiego przeważnie negatywnie, wychodząc z błędnego założenia, że integrację społeczeństwa można przeprowadzić centralnie, jak integrację gospodarczą, narzucając wszystkim obywatelom uznawane przez siebie schematy postaw — z reguły koniunkturalne — które powinny ułatwić rządzenie społeczeństwem. Postawy te w uproszczeniu można sprowadzić do biernej akceptacji decyzji urzędowych, życzeń politycznych i składania deklaracji lojalności. Kulturowe odrębności uznaje się tylko w granicach sprowadzonych do folkloru i zwyczajów, zawężonych zresztą do obrzędowości ludowej.

Spółeczeństwo polskie jest zintegrowane w granicach państwa, ale to nie znaczy, że jest ono kulturowo ujednolicone. Ono nigdy nie podda się ujednoliceniu. Nie ma zresztą modelu takiego ujednolicenia i nie może go być, zważywszy, że nikomu nie udało się przekreślić historii narodu o zróżnicowanym rodowodzie i wielobarwnej kulturze, ani zmienić krajobrazu geograficznego państwa — faktów współdecydujących o zróżnicowaniu kulturowym współczesnego społeczeństwa. Nie ma przy tym podstaw, aby wszystkich odcieni kultury nie uznawać za kulturę wspólną, właśnie polską. To, że Kaszubi zachowali i stale rozwijają swoją wyraźnie wyróżniającą się kulturę osadzoną w klimacie północy, w której język odgrywa niepoślednią rolę, zawdzięczamy wielu składnikom, jakie złożyły się na proces ich rozwoju społecznego i zmiennej układów politycznych, przede wszystkim jednak — konieczności nieustannej walki o równoprawność w społeczeństwie polskim, a potem i w niepodległym państwie.

Nie ma walki bez przeciwności, te zaś dodatkowo — z powodu istnienia zwartej społeczności kaszubskiej — nigdy nie słaby. Myślę, że rozważenia wymaga (może w przyszłości warto poświęcić temu specjalną uwagę) podstawowy zarzut stawiany Kaszubom bez przerwy od 1850 roku po dzień dzisiejszy, mianowicie uwikłania się w separatyzm polityczny. Jest to zarzut natury propagandowej — nie tyle zabójczy, co samobójczy, ponieważ nikt w elitach politycznych nie sprecyzował dotąd, co w przypadku Kaszubów oznacza separatyzm. To samo dotyczy autonomii. Oba pojęcia są, moim zdaniem, zupełnie odrębne, chociaż przedstawiciele elit politycznych mieszały je w niewiedzy lub niekiedy utożsamiają. (...) Z prowokacją najdalej idącą spotkaliśmy się zaraz po II wojnie światowej, a wywołał ją — raczej nie z własnej inicjatywy — podpułkownik Aleksander Anatol Zbaraski, wicewojewoda gdański. Jego inicjatywą utworzenia republiki kaszubskiej nikt z Kaszubów poważnie nie potraktował, do dzisiaj jednak przetrwało pomówienie działaczy kaszubskich, że to oni chcieli stworzyć własne państwo. Z tego przeinaczonego faktu wyciąga się karkołomne wnioski, utrwalające podejrzliwość wobec politycznie niepewnych Kaszubów.

I druga podstawowa sprawa — stosunek Kaszubów do Niemców, który z naszej strony nie wymaga żadnych wyjaśnień. Natomiast jest on, obok separatyzmu lub łącznie z nim, kanonem antykaszubskiej propagandy, nasilanej zawsze wtedy, kiedy przedstawiciele władz politycznych usiłują gwałtownie zniewolnić samodzielny i samorządny ruch kaszubsko-pomorski (...).

Zyczę kolegom pomyślności w sporach o własne racje”.

TADEUSZ BOLDUAN

za Puckiem, pod Strzelinem, piosenkę, a słowa jej takie, jak na Kujawach czy na Mazowszu, tylko melodia smutniejsza i tęskniejsza. (...) Lud tylko, choć niby naszą mową pozdrawia i „Ojczy nasz” w kościołach tak samo jak u nas głośno odmawia, jak gdyby odmienny, jeżeli nie rysami twarzy, to wyrazem oczu, trochę ponury, jak gdyby podejrzliwy; nie przyzwyczajony on słyszeć u „pana” takiej do swojej zupełnie podobnej, tylko więcej wypieszczonej mowy. Może to dawny pomorzanin, mniej ma tradycji o sławie swej ojczyzny pomorskiej niż my, a więcej nagromadziło się w życiu jego przez wieki ucisku niż u nas; mało ma on i dziś dni słonecznych, a za to nadmorskie, listopadowe, straszne wichry i zimowe, śnieżne burze”²⁰.

To położenie głównego nacisku na swojskość, na podobieństwa zachodzące między Kaszubami a mieszkańcami innych regionów ziem polskich, miało chyba dwojakie źródła. Po pierwsze, inność była wówczas czymś codziennym, traktowanym jako zjawisko normalne. W końcu nawet w cieszącej się autonomią narodową Galicji część ludności określała siebie jako Mazurów, miano Polaków pozostawiając grupom zamożniejszym, głównie ludności miejskiej. A elementy gwary górali podhalańskich, wprowadzone na przełomie stuleci do literatury pięknej, zostały w zasadzie powszechnie zaakceptowane jako swojskie. Po drugie, traktowanie inności jako czegoś w pełni naturalnego, występującego we wszystkich regionach, było podyktowane obawami przed wynarodowieniem. W poczuciu więzi regionalnej, w jej umacnianiu, widziano środek obrony tożsamości narodowej. Wydaje się, że na ogół nie dostrzegano kolizji między więzią regionalną a narodową, że w czasach, które w tym wypadku nas interesują, większość środowisk przywódczych i opiniotwórczych skłonna była akceptować pogląd, iż w skład jednej ojczyzny ideologicznej, jaką była Polska, wchodzi różne ojczyzny regionalne.

Można nawet chyba wyrazić przypuszczenie, że

przynajmniej część współczesnych gotowa byłaby zaakceptować taką sytuację, jaka miała miejsce w Holandii, w której — według uczonego holenderskiego, Willema Everharda Boermana — prowincje: Zeelandia i Fryzja „zachowały lepiej swój lokalny charakter, niż — zachodnie. We Fryzji odchylenia językowe są tak duże, że właściwie chodzi tu o odrębny język. W czasach ostatnich ludność, powodowana swoistym lokalnym patriotyzmem, dba bardziej o jego czystość. W życiu publicznym nie posiada język ten żadnego znaczenia, łączy on jednak świadomych swego pochodzenia Fryzów w granicach poza granicami kraju”²¹. Do przyjęcia takiej oceny skłania między innymi gotowość aprobaty daleko posuniętych odrębności regionalnych, wyrażana nawet przez takich publicystów jak Antoni Chołojewski, autor megalomańskiego *Ducha dziejów Polski*. Sygnalizując występowanie wcześniej w ruchu kaszubskim dwóch tendencji, „myśli odrębności narodowej” Ceynowy i zupełnego „językowego zjednoczenia Kaszub z Polską”, pisał: „Ruch młodokaszubski jest przeciwieństwem każdego z tych kierunków, a zarazem połączeniem obu razem wziętych. Pragnie budować przyszłość Kaszub na podstawie kulturalnej, narodowej i politycznej jedności z Polską, z jednoczesnym zachowaniem i pielęgnowaniem ściślejszych cech miejscowych. (...) Polska nie ma tu dość siły, zbyt abstrakcyjnie przedstawia się, aby temu procesowi [niemczenia się — R.W.] przeszkodzić. Może natomiast tego dokazać uderzeniem w strunę uczuć szczepowych, które, rozbudzone, wstrzymują proces germanizacji, a nawet nawrócić mogą warstwę na wół odpadłe, ożywiając w nich pamięć wspólnego pochodzenia”²².

20. B. Chrzanowski, op. cit., s. 10—11.

21. W. E. Boerman, Regionalizm w Holandii, w: *Ruch regionalistyczny w Europie*. Książka zbiorowa pod redakcją Aleksandra Patkowskiego. Warszawa 1934, s. 423.

22. A. Chołojewski, *Nad morzem polskim*. Warszawa 1912, s. 25—26.

Traktowaniu odrębności Kaszub jako naturalnej, swojskiej, nie odbiegającej w zasadniczy sposób od inności szeregu innych regionów objętych polskimi aspiracjami terytorialnymi, sprzyjało poza tym występowanie na tym obszarze, jaki miał tworzyć obszar przyszłego państwa polskiego, licznych skupisk ludności ukraińskiej, białoruskiej, litewskiej i o nie w pełni wykształconym poczuciu odrębności narodowej. Jeżeli część elit polskich jako swojskie traktowała litewskość czy rusińskość, to nic nie stało na przeszkodzie akceptacji poczynąń ruchu młodokaszubskiego, tym bardziej, że jego główny reprezentant, Aleksander Majkowski, w artykule opublikowanym na łamach warszawskiej „Ziemi” podkreślał, że Kaszubi to „szczęp jeden z wielu wielkiego narodu polskiego”²³. Przypuszczam, że znaczna część współczesnych stwierdzenie to traktowała jako równoznaczne z akceptacją poglądu, iż Kaszubi są taką samą odmianą Polaków, jak np. Kurpie czy Kujawiacy. Kształtowaniu się takich poglądów na Kaszuby i ruch kaszubski sprzyjała utrzymująca się fascynacja ludowością we wszelkich jej przejawach. Stąd obawy, jakim dawano wyraz, dotyczyły nie ruchu kaszubskiego, w którym przede wszystkim dostrzegany był ruch regionalny o charakterze folklorystycznym, a niebezpieczeństw grożących Kaszubom ze strony niemieckości.

Użyłem tego określenia, gdyż ono jest bardziej adekwatne dla dominujących wówczas ocen, obejmujące bowiem szersze zjawisko niż to, które kojarzy się z określeniem: polityka germanizacyjna. Analizując ówczesne wypowiedzi dotyczące losów polskości na Pomorzu, można nawet dojść do wniosku, że głównych dla niej niebezpieczeństw upatrywano nie w świadomej polityce germanizacyjnej. Cytowany już Bernard Chrzanowski, działacz, który w okresie poprzedzającym odzyskanie niepodległości odegrał największą rolę w popularyzacji Kaszub, w pierwszej większej im poświęconej publikacji pisał między innymi: „Inteligencji polskiej — nie ma; kilka tylko osób. Oświata i uświadomienie narodowe, które długo leżały odłogiem, postępują w ostatnim czasie naprzód; przyczyniają się do tego wyjątkowe prawa, skierowane przeciw ludności polskiej, dobra wola kilku gorliwych jednostek i polskie pisma”²⁴. Konstatując słabość lokalnych środowisk przywódczych, nie tyle nawet chyba ilościową, co jakościową, Chrzanowski, opowiadający się generalnie za koncentracją poczynąń ruchu polskiego na sprawach codziennych, w tym wypadku boleje przede wszystkim nad tym, że wokół Kaszub nie rozwinęły się badania naukowe i twórczość artystyczna. „A jak — pisał w 1917 r. — jedne są dla nas Tatry, tak jedno tylko jest dla nas i wybrzeże. Jak jednak rozmilowanie

się w nich pobudza do studiów nad nimi, tak brak tego miłosnego prądu ku morzu”²⁵.

Można przypuszczać, że podzielał on obawy, które żywiła część środowisk z dwóch pozostałych zaborów, niezależnie od swych orientacji ideowych, o wynik zmagania między polskością, głównie plebejską, a niemieckością, dysponującą całą gamą środków oddziaływania. Stanisław Thugutt, przed I wojną działacz Towarzystwa Krajownawczego w Warszawie, utrzymujący kontakty z działaczami kaszubskimi i organizujący wycieczki kaszubskie do Warszawy, tak wspominał wrażenia z kontaktu z jedną z tych wycieczek: „wycieczkę poraziły po prostu dwie rzeczy: przede wszystkim księgarnia Gebethnera i Wollfa, bo nie myśleli, że jest tyle polskich książek na świecie, i obejrzały wewnątrz pałac ordynata Zamoyskiego, bo skądże tak wielki pan nie tylko jest Polakiem, ale nie wstydi się do polskości przyznawać. Może dlatego mieszkający u mnie poczciwy „gbur” spod Kościerzyny oświadczył mi na wyjeździe chłodno, lecz stanowczo, że na przyszłość będzie pisywał listy do siostry tylko po polsku.

— A dotychczas jak pan pisywał?

— Po niemiecku, ale przecie, panie, ja Polak”²⁶.

Wrażenia Thugutta dotyczące presji dominującej na co dzień niemieckości nie były odosobnione. Publicznie formułował je Choloniewski, pisząc, że: „Prosty człowiek na Kaszubach łąnie do niemieczyzny nawet bez przymusu. Źródłem dobrowolnej germanizacji jest nie tylko urok, jaki na całym wybrzeżu roztacza zasobna i potężna niemieczyzna, nie tylko to, iż do niej należy wszystko, co wyrasta nad poziom wiejskiego prostactwa; źródłem jej jest przede wszystkim niesłychana pogarda dla własnej, kaszubskiej gwary. Uważa ją wieśniak tutejszy za coś niezmiernie podłego, godnego politowania, wstydi się jej”²⁷. Zbliżone spostrzeżenie poczynił Julian Talko-Hryniewicz, który w początku lat dwudziestych prowadził na Kaszubach badania antropologiczne. W okresie zaborów — jego zdaniem — „Starą kulturę wyciska niemieckość wkraczająca wraz z mową i cywilizacją, dająca Kaszubom realne korzyści: szkołę, aptekę, pocztę, budowę kolei, dróg itd.”²⁸.

23. A. Majkowski, Kwestia kaszubska, „Ziemia”, nr 22 z 3 VI 1911.

24. B. Chrzanowski, Na kaszubskim brzegu. Zwięzły przewodnik z sześciu krajoobrazami i mapą. Poznań 1910, s. 36.

25. Tenże, Z wybrzeża i o wybrzeżu, s. 60.

26. S. Thugutt, Autobiografia, Warszawa 1984, s. 74.

27. A. Choloniewski, op. cit., s. 13.

28. J. Talko-Hryniewicz, Kaszubi jako grupa antropologiczna na zasadzie badań dokonanych na Pomorzu, w: Prace i materiały antropologiczne, archeologiczne i etnograficzne, t. VI część 2. Kraków 1925, s. 5.

Kazimierz Sopuch

Zonie

* * *

Jak dawno... Jak dawno to było.
Ten dom, który nie jest już domem,
ten kształt, który nie jest już kształtem,
młodość rozgrzana nadzieją i jasną,
nie wiedzącą, że mija, że gaśnie.
Przecucie końca było zawsze przy mnie,
trzymał krótko jak pies na uwięzi,
a teraz weszło już we mnie i rzęzi,
nie daje zasnąć, lecz i żyć nie daje.
Szukałem, zawsze szukałem uparcie,
wierząc, że muszę jakąś jasność zdobyć,
a to jest tylko zasłony rozdarcie,
za którą nowe zasłony się mnożą.
Pewna jest teraz tylko twoja cichość,
twoja nadzieja, że nie ma nadziei.
Jakże ty możesz, wiedząc to, oddychać,
spokojna w drodze, rozważnie siwiejąc?
Czekam na twoje otwarte ramiona
choć wiem, że one — kolejną zasłoną.

Osiem wieków katedry oliwskiej Kolebka i mogiła

Jerzy Samp

Zbliża się doniosły jubileusz oliwskiej świątyni zwanej też nekropolią książąt Pomorza Gdańskiego. Niebawem minie ósme stulecie od daty sprowadzenia tu przez Subisława pierwszych cystersów. Nieprzypadkowo przyłgnał do imienia tego księcia przydomek „Krzewiciel”. On bowiem, jak głosi tradycja, z chwilą przyjęcia chrztu stał się wielkim orędownikiem dzieła misyjnego, a więc i cywilizacyjnego na Pomorzu. Historia klasztoru to oczywiście również dzieje świątyni, miejsca, w którym złożono ciała książąt z dynastii chmielińskiej.

Zmieniała się w ciągu wieków bryła budowli, jej rozmiary, kształt i wyposażenie, a kolejne epoki zapisywały tu swą obecność nie tylko znakiem kamienia, cegły i spizu, ale również śladami krwi i pożogi. Ten architektoniczny poemat, w którym tyle jest z uśmiechu anioła co i udręki Ukrzyżowanego zarazem to przecież dzieje powtarzających się pożarów i grabieży, jak i chwalebne zmartwychpowstawanie oliwskiego feniksa.

„I wieki mrań nad tobą, zasypując pyłem umarłych pamiątek” — chciałoby się powtórzyć słowa autora „Kordiana”, gdyby nie to, że spotykane tu nieomal na każdym kroku „dziejowe pamiątki i pomniki” tylko na pozór należą do świata umarłych. Świątynia oliwska to bowiem miejsce bardzo osobliwe, to nekropolia, w której przez całe stulecia czerpano siłę męstwa, rozumu i rozważli. Wierzone, iż w sposób mistyczny energia ta emanuje z prochów złożonych tu książąt Pomorza Gdańskiego — fundatorów i dobrodziejów kościoła.

Lud pomorski izolowany tak długo od Macierzy, zachował swoją tożsamość m.in. właśnie dzięki takim miejscom jak oliwskie, świętowojciechowe, czy wejherowskie sanktuarium. Tu poznawał dzieje własnej ziemi, tu uczył się jej cenić. O randze kościoła, w którym czas wyrzył tyle „stygmatów polskości” przesądził nie tylko mit i sentyment, jakby tego chcieli niektórzy. Jeśli zarówno w literackich, jak i powszechnych wyobrażeniach na temat katedry oliwskiej utrwalił się stereotyp „zakłętę Wawelu Pomorza” — mówić należy z całą pewnością o nadzwyczajnym charyzmie tego miejsca. Miejsca, w którym koronowane białe orły tak ściśle zespoliły się z książęcymi czarnymi gryfami.

Nie dziwny się więc, że prawie cała literatura tematycznie związana z tą świątynią to właśnie pisarstwo z nadwyżką historii. Toteż przystępując do analizy dzieł poetyckich i prozatorskich, których autorzy podjęli interesujący nas motyw, winniśmy również pamiętać, że literatura to niekoniecznie faktografia. Pisarz bowiem rekonstruuje dzieje prawdziwe, często jednak wykorzystując przebogatą sferę tradycji ustnej, a w niej także liczne podania lokalne i wierzeniowe, tworzy na swój sposób dzieje bajeczne. Posiadając prawo do fikcji posługuje się tym narzędziem w najrozmaitszy sposób, a przecież mimo to, a może właśnie dlatego, mówimy, iż dzięki literaturze nasza wiedza o „kaszubskim Wawelu” jest pełniejsza, bogatsza, bardziej emocjonalna.

Katedra oliwska posiada określone miejsce w naszej literaturze pięknej. Zapewne faktem nie bez znaczenia jest spora ilość tekstów, które udało się dotychczas zebrać. Sądzę jednak, że nie mniej istotny jest ich poziom artystyczny, wymowa ideowa, przede wszystkim zaś rola, jaką utwory te w swoim czasie spełniały wśród ich czytelników. Zdając sobie sprawę z mnogości sposobów zaprezentowania całej tej spuścizny literackiej, zupełnie świadomie wybieram tu kryterium chronologiczne, przy czym interesować nas będzie nie tyle kolejność ukazywania

się poszczególnych dzieł, co raczej historyczny czas zawartej w nich akcji. Jest to być może tradycyjne już w samym założeniu, lecz z uwagi na specyfikę materiału egzemplifikacyjnego pozwoli uniknąć powtarzających się wciąż motywów.

SPOJRZENIE WSTECZ

Reminiscencje związane z najwcześniejszymi dziejami oliwskiego opactwa obecne były od wieków przede wszystkim w tzw. literaturze ustnej, czyli w pomorskim folklorze literackim. Wśród wielu legend, które zyskać miały kształt artystyczny dopiero w wieku XIX i później, znajduje się m.in. „Legenda o powstaniu klasztoru w Oliwie” (Kaszëbë, nr 15/1958 r.) mówiąca o niefortunnym polowaniu księcia Subisława I, o pomocy jakiej mu udzielono w kniei, śnie, w którym pojawia się motyw gałązki oliwnej (nawiązanie do ludowej etymologii nazwy osady), o nawróceniu i wreszcie fundacji ocalonego cudem Subisława, który przeznacza pierwotną siedzibę książęcą w Oliwie (!) pod przyszły klasztor cystersów.

Czasy panowania Sambora I — faktycznego realizatora oliwskiej fundacji, a zarazem syna Subisława Krzewiciela, stały się kanwą utworu Stanisława Kujoty. Powieść tego wybitnego historyka Pomorza i duchownego, zatytułowaną „Głowa świętej Barbary” drukowano kilkakrotnie, poczynając od roku 1874. Jest to typowy przykład dziewiętnastowiecznej literatury dla ludu. Trafiamy tu, w jednej ze scen, na opis uroczystej procesji, która zmierzając do Gdańska z relikwiami męczenniczki, dociera także do opactwa oliwskiego. Jest to dopiero co wybudowany konwent. W jego kompleksie zaczynają właśnie wyrastać z ziemi mury przyszłego kościoła.

Kolejną powieścią podejmującą problematykę wczesnośredniowieczną jest pierwszy z tomów niedokończonych trylogii historycznej Lecha Bądkowskiego, noszący tytuł „Młody książę” (1980 r.). Mściwój — główny bohater dzieła — odwiedza w towarzystwie swego ojca, księcia Świętopełka opactwo cysterskie. Zagląda oczywiście i do oliwskiej świątyni, której podziemia, jak powiada narrator „ród książęcy wybrał sobie na miejsce wiecznego spoczynku”. Jest wspomnienie o niedawnym napadzie Prusów, oraz opis prowadzonej właśnie rozbudowy (chodzi o jedno ze skrzydeł transeptu). Wszystko to całkowicie wiarygodne, bowiem pisarz dążył do zachowania prawdopodobieństwa realiów.

Nie mniej interesująco przedstawia się w tym utworze studium duchowego wnętrza młodego bohatera. Oliwskie oratorium, poprzez panujący w nim nastrój wywołuje w Mściwoju uczucia podniosłe i niepokój zarazem. „Ten sam nastrój — czytamy — ogarniał go w każdym miejscu, gdzie mogło się dziać coś niepokojącego, a mocniejszego niż on i każdy człowiek; to nieznane mogło zagrażać nieszczęściem, albo obdarzać łaską, wiedno górowało nad nim”.

Sprzed trzystu pięćdziesięciu lat pochodzą zapiski zwiedzających bazylikę przybyszy. Mowa w nich o przechowywanych tu wówczas relikwiach i osobliwościach. Francuz — Karol Ogier pisał w swoim „Dzienniku podróży do Polski 1635—36” (1950 r.), iż w kościelnym skarbcu złożył pocałunek na przechowywanej tam chustce Weroniki (darze papieża Grzegorza XIII). Wspomnił także, iż „mają tu kamień, który był kiedyś chlebem i cudem w kamień został przemieniony”. Odpowiedzi na pytania „jaki był tego cudu powód” nie znał, a przecież motyw skamieniałego kołacza oliwskiego to jeden z najbardziej znanych tematów średniowiecznego baśniokregu Po-

morza. Jego pierwsze znaczące adaptacje literackie, a jest ich w naszym piśmiennictwie niemało, pochodzą z połowy ubiegłego stulecia.

Bronisława Kamińska (Z. Węgierska) włączyła podanie zatytułowane „Chleb obrócony w kamień” do swoich „Legend historycznych z roku 1863” (jednej z pierwszych książek polskich z wyraźnym adresem czytelnicy dla dziewcząt). Mowa w tym utworze o głodzie, który w roku 1217 dziesiątkował mieszkańców gdańskiej ziemi i o nieuczciwym człowieku, co wyludził był od mnichów oliwskich dodatkowy bochen rozdawanego dla najuboższych chleba. Nie podzielił się nim jednak z cierpiącą głód kobietą, kłamiąc, iż zamiast kołacza dźwiga jedynie kamień za pazuchą. „—Niechże będzie kamień” — rzekła niewiasta. I tak też się stało. Przerażony wrócił natychmiast do kościoła oliwskiego i pozostawił dowód popełnionego grzechu, na świadectwo ludziom, „że chleb, którego sam nie potrzebujesz, a biednemu go nie dajesz kamieniem na duszy twojej ciąży być będzie”.

Dodajmy na marginesie, że niemal analogiczny pomorski frazeologizm o chlebie i kamieniu odnotowany został przez Mrongowiusza.

Ten średniowieczny motyw podaniowy znajdujemy też w zbiorze „Wierszy” Adama Górczyńskiego (z r. 1883), gdzie przy tytule utworu „Chleb” znalazł się komentarz „Legenda z XIV w. wedle podania oliwskiego klasztoru”. Obszerny tekst, tkwiący jakże silnie w romantycznej poetyce Mickiewiczowskiego nurtu balladowego kończy autor słowami:

„Dotąd w Oliwie w klasztornym ganku
Wisi ten kamień na ścianie;
I głośna powieść o skąpym panku —
I chleba w kamień przemianie”.

Prócz wymienionych autorów temat ów podjęli w swej powojennej już twórczości m.in. Ewa Szelburg Zarembina, Franciszek Sędzicki, oraz autor, któremu zawdzięczamy według mnie najcenniejszy i literacko najdojrzalszy wariant oliwskiej legendy — Władysław Łęga.

Gdy w latach 80-tych ubiegłego stulecia zwiedzał tę świątynię Konstanty Damrot, niewielka nisza wykuta w filarze naprzeciwko bocznego wejścia z kruzganków klasztornych świeciła już pustką. Pozostał w niej jedynie napis wyjaśniający genezę chleba w kamień przemienionego.

WIEK ZŁOTY

Opactwo cysterskie wraz ze swą świątynią było w bogatych dziejach Oliwy przede wszystkim przedmurzem katolicyzmu, lecz bywało, i to wcale nie rzadko, także redutą. Tak działo się w czasach, gdy symbolem śmierci był w tych stronach czarny krzyż na piersiach rycerzy w białych habitach, wówczas, gdy kościół plądrowali Husyci, a także i wtedy, gdy dzieła spustoszenia dokonali (w r. 1577) rozfanatyzowani protestanci gdańscy. Akt ten potępiony został z całą surowością przez ówczesną literaturę polityczną. I choć piętnuje ona samowolę krnąbrnych gdańszczan, którzy dopuścili się przestępstwa wobec króla polskiego, aluzje do świętokradztwa i zbrodni dokonanej na cystersach są aż nadto czytelne. W tym duchu pisał uczestnik wyprawy gdańskiej Batorego — Joachim Bielski, szereg anonimów, a jeszcze w wieku XVII Wacław Potocki dawał wyraz swej dezaprobaty wobec heretyków.

Czasy wojen szwedzkich, ogromnisz zniszczeń i grabieży dokonana w kościele cystersów przede wszystkim za sprawą admirała Karola Karlssona, jak również dzieło odnowy i rychły, pełny rozkwit świątyni w czasach opata Dawida Konarskiego znalazły swe odzwierciedlenie w „Dziennikach” wspomnianego już Karola Ogiera. Nie należą one co prawda do polskiej memuarystyki, lecz iluż to naszych pisarzy korzystało z tego źródła. Dość wspomnieć choćby o Jerzym B. Rychlińskim czy Franciszku Fenikowskim.

Wiek XVII znaczy swoją obecność w obrębie murów kościelnych co najmniej dwoma przedsięwzięciami o znaczeniu wiekopomnym. Pierwsze, z roku 1613 dotyczy zamówienia u malarza gdańskiego Hermana Hana serii portretów fundatorów i dobroczyń-

ców związanych z opactwem. Drugie wiąże się z ufundowaniem w roku 1615 sarkofagu książąt pomorskich. Wykuta z czarnego marmuru płyta umieszczona w prezbiterium, w miejscu, w którym miał się znajdować wcześniejszy, odlany w brązie pomnik nagrobny członków pomorskiej rodziny książęcej, wyrwany z posadzki i wywieziony stąd jeszcze przez Husytów.

O tym, że klasztor odegrał rolę historyczną, jako miejsce zawarcia w roku 1660 traktatu pokojowego, dodawać nie trzeba. Znakomitą oprawę literacką nadał temu wydarzeniu Wespazjan Kochowski w wierszu „Pakta oliwskie”.

Zarówno olejne, wyidealizowane wizerunki władców Pomorza, jak i wyeksponowane (choć zapewne tylko symboliczne) miejsce spoczynku ich prochów — traktować należy jako potwierdzenie polskiej racji stanu, wierności opatów w stosunku do królów polskich i takież wierności tutejszego ludu. Tamten okres w dziejach Oliwy nazwać można wiekiem złotym i takim też pozostał on w swoich pamiątkach. Odtąd kościół tutejszy egzystować już będzie zawsze w świadomości zarówno jako KOLEBKA (wiary i polskości), jak i MOGIŁA, a imiona książąt pomorskich jawić się będą ilekroć wymówiona zostanie nazwa osady.

„Piękna Oliwo, kolebko i grobie
Pobożnych Samborów, chrobrzych Mestwinów”
powie o niej poeta śląski K. Damrot, zaś Izydor Gulowski — autor „Pieśni o ziemi kaszubskiej”, podejmuje ten ton dodając:

„Oliwo, stolico swianta,
Samborów, dzielnych Mestwinów.
Tutaj kaszubskie ksząta
Obmeslały dobro synów”.

PRZED OBLCZEM KSIĄŻĄT

Ktokolwiek więc pisać odtąd będzie o wzniesionej rękoma cysterskich braci bazylice, dotknie tej właśnie struny. Tak uczynił na łamach „Kłosów” w 1867 r. Józef Ignacy Kraszewski, w swych „Listach z podróży”, dla którego obecna katedra była przede wszystkim „grobowym kościołem książąt pomorskich, dawnych władców tego kraju”, gdzie „w pośrodku prosty głaz starą formą przykrywa wniósł do grobów książąt a tuż na ścianach są wizerunki ich i kilku królów późniejszych”.

Tak postąpiła też Maria Konopnicka. Jej nowela „W Gdańsku” (1977 r.) to tragiczne dzieło rycerza polskiego Mikołaja Myszkowskiego. Ożeniony z Niemką gdańską przeżywa dramat, jest bowiem świadkiem wygasania polskości wśród własnych dzieci. Zbyt słaby by przeciwstawić się losowi i nazbyt dumny, aby powrócić tam skąd przybył, szuka ukojenia właśnie w prezbiterium kościoła oliwskiego, gdzie ze ścian spoglądali na niego królowie i książęta.

„A nie musiało to być do zniesienia lekkie, bo rycerz włókł się przez nawę zgarbiony, jakby przyćmion nieznosnym ciężarem. Zaczem siadał w pustych stallach na wprost wizerunków onych a spariłszy głowę na rękę patrzył. Aliści im dłużej patrzył, tym mniej widział. Iż zachodziły mu oczy wilgotnym tumanem”.

Po raz ostatni przybywa tu, by szukać rady u swoich „Królów” wówczas, gdy w Polsce zanosi się na wojnę, a on — rycerz nie chce ani szabli swej ani wiary pohańbić. Jego monolog to spowiedź człowieka wewnętrznie rozdartego. Serce nie wytrzymuje napięcia i rycerz wznosząc ręce ku malowanym wizerunkom umiera wołając w ich stronę:

„— Na pomoc! Na pomoc Ojczyźnie!”
Należy sądzić, że poczucie zagrożenia bytu narodowego, tak ostro tu, choć przecież na zasadzie retrospekcji przez Konopnicką zaakcentowane, to powieść kłęski rychłych już rozbiorów Polski. Po pierwszym z nich Oliwa dostała się pod panowanie pruskie. Wkrótce też skonfiskowano majątki cysterskie. Wprawdzie klasyk warszawski Michał Wyszkowski goszczący tu ok. 1803 roku pisał jeszcze w wydanych w 1830 r. „Poezye”:

„Tam gdzie Jan Kazimierz przed laty
Sławne zawierał traktaty,
Dziś w opuszczonej Oliwie
Mnichy mieszkają szczęśliwie”.

Była to jednak raczej wegetacja niż szczęśliwe bytowanie, bo już w roku 1831 konwent ostatecznie rozwiązano, tworząc w to miejsce parafię oliwską zarządzaną przez Niemców. Odtąd też przez wszystkie lata niewoli tutejsze pomniki niepodległego bytu narodowego nabierać będą wymowy szczególnej. Takiej, na jaką zasługują narodowe świętości.

W skonfiskowanych przez cenzurę pruską „Szkicach z ziemi i historii Prus Królewskich. Listy z podróży” z 1886 r. — ich autor Konstanty Damrot, ukrywający się pod pseudonimem Czesław Lubiński, przemawiał w modnej wówczas epistolarnej konwencji do wymyślanego adresata:

„Nie uwierzysz z jakim uszanowaniem i rozręzieniem patrzyłem teraz na portrety i miejsce ostatecznego spoczynku tych książąt, których charakterystyczną cechą była pobożność i szczerobliwość, którzy te znamiona szczepowe Słowian uszlachetnili w swojej dynastii i podnieśli do wysokości cnót chrześcijańskich. (...) O byłoby wiele do mówienia, ale po co się rozczułać, po co wodzić płonne żale, po co wywoływać cienie świątobliwych mężów, wszak oni na nas i na naszą dolę i kraju — niegdyś swą własność — patrzą i otaczają bez wątpienia tą samą jak za życia troskliwością”.

Damrot wspomina w swoich „Szkicach” o przylegającej do kościoła kaplicy Mariackiej (obecnie seminaryjnej) — jedynym wówczas miejscu, gdzie usłyszeć można było słowa polskich kaznodziejów. Wyraża również sugestię, że lepiej byłoby zastąpić ołtarzowy obraz Madonny della Sedia kopią M. B. Częstochowskiej. Myśl tę, wiele lat później podchwyciła także Maria Koopnicka. Z jej przedrukowanego na łamach „Gryfa” (przez Bernarda Chrzanowskiego) listu dowiadujemy się, iż pisarka uczestniczyła w roku 1906 we mszy św. odprawianej dla miejscowych Kaszubów właśnie przy ołtarzu Rafałowskiem Madonny. Po nabożeństwie naklaniała uczestników, że powinni w tej kaplicy mieć raczej wizerunek M. B. Częstochowskiej i urządziła spontaniczną kwestę na ten cel. Autorka „Roty” zapewniała potem w listach, iż często wraca myślą nad to morze, gdzie „polska dusza nie umarła — ale śpi”. Może sądziła, że odtąd kaszubskie „Swanta Maria” wznosi się ku poczerńiałemu licu. Tak się jednak nie stało. Kaplica Mariacka nie doczekała się kopii Czarnej Madonny, być może nie bez winy ówczesnego proboszcza, Niemca — Schrötera.

W UPOKORZENIU

Lata zaboru pruskiego to jedna z najbardziej ponurych kart w dziejach Pomorza, lecz być może właśnie dlatego ów czas wielkiego upokorzenia z jednej strony, z drugiej zaś wzmoczonej walki o zachowanie tożsamości etnicznej i narodowej, tak często pojawia się, i co więcej — nawet dominuje w literaturze tematycznie związanej z oliwską katedrą.

W tej „dziwnie cichej ustroni” — jak pisał o niej Kraszewski, dzieją się w tym czasie rzeczy ważne i doniosłe. W pierwszej epopei kaszubskiej „O panu Czorlińskim co do Pucka po sece jachoł” ogłoszonej ponad sto lat temu przez Hieronima Derdowskiego — tytułowy bohater właśnie tu poznaje najwcześniejsze dzieje swojego ludu. Nauczycielem i przewodnikiem jest mu brat zakonny z Wejherowa (autorytet w tych sprawach i osoba wiarygodna). Czorliński dowiaduje się zatem, których to fundatorów przedstawiono na portretach, o zasięgu terytorialnym ich suwerennego państwa, o mowie kaszubskiej, która rozbrzmiewała w komnatach książęcego zamku nad Motławą, o Świętopelku, który

„wsześciech mniemców z Kaszeb wegnół do zdzebelka”, o słynnym akcie łepińskim, mocą którego Mszczuż zapisał królowi polskiemu całe swe księstwo pomorskie, przez co:

„Polska wieczne prawo do nos odebrała,
I się naszą opiekunką i ojczystą stała”.

Takie wiadomości muszą oczywiście wyzwać du-

mę szczepową, którą Czorliński dzielić się odtąd będzie ze swymi krajanami. Dodajmy jeszcze, że książęta nasi w literaturze dla ludu to po prostu pracownicy Kaszubów. Charakteryzując postać Świętopelka pisał Derdowski:

Męstwo, chytrość i upartość, fife i wykrete
Jesz Kaszube do dzys po nim mają wzete”.

Zupełnie inny typ bohatera reprezentuje Remus Aleksandra Majkowskiego („Żeć i przigodę Remusa”) — ubogi parobek kaszubski, właściwie domokraczą przemierzający ze swą pełną różnicą (głównie książek) taczka całe Pomorze wzdłuż i wszerz. Stworzona przez Aleksandra Majkowskiego postać to ktoś zupełnie różny od schłopiatego szlachcica, którego uczyć trzeba dziejów własnego regionu. Remus wychodząc w świat jest już człowiekiem świadomym własnej misji i posłannictwa. Ośniony we wczesnej młodości skraj Ormuzdową, chce wybawić swój uciemiężony kraj, ów „zamek zapadły” z niewoli. Również i on trafia w swej wędrówce do oliwskiej świątyni. Przybywa tu wszakże po to, by nad czarnym głazem nagrobnym modlić się za dusze książąt, a kontemplując ich zasługi dla Pomorza posiąść dar męstwa i rozumu.

Bowiem: „jich mjezcowi, dzirżkosc i rozumovji — procem rożnim panom, chterni nami rządżilē — zawdżeczomē, żesme do dzisodnja zatrżimelē vjarē, wobeczaj i mowę wojców naszich”.

Remus patrząc w oczy malowanym postaciom w płaszcach królewskich i błyszczących zbrojach cierpi, gdyż świadom jest, że wróg zgasić chce pamięć i zagłuszyć pieśń o wielkich dziejach kaszubsko-pomorskiej dynastii. Później rozmawia z tutejszym kościelnym i dowiaduje się od starca, iż niebawem marmurowy sarkofag zabrany zostanie sprzed ołtarza i postawiony gdzieś w kacie, by nikomu nie przypominał naszych kaszubskich książąt. Bohater utworu nie szczędzi skromnych oszczędności i ku zaskoczeniu duchownego, z pewnością Niemca, zamawia mszę świętą za dusze Subisławów, Samborów, Świętopelków i Mestwinów.

Wśród wielu osobistości, które odwiedziły kościół w okresie, gdy panowała tu niemczyzna, znalazł się również wybitny historyk literatury polskiej, profesor Stanisław Tarnowski. Wrażenia swoje zawarł w drugim tomie „Z wakacyj. Prusy Królewskie” (1888 r.). Jego zapiski, które dziś zaliczylibyśmy do literatury faktu, cechuje silny ładunek emocjonalny. Również i on, podobnie jak jego poprzednicy, zwraca uwagę na szczególnie rodzaj nastroju panującego w świątyni. Tajemniczość, milczący stary zegar — symbol czasu zatrzymanego, półcienie, miejsca puste i dopiero co opuszczone, smutek... Lecz przecież z każdego zakamarka i kamienia owiewa go utajona w pamiątkach tradycja, polskość zabalsamowana i pokryta patyną stuleci.

„Tu się jest zupełnie w Polsce” — powiada i zaraz wzrok swój przenosi na drewnianą statulę mniacha, który od wieków już wznosi dłoń w uciśniętym geście. Jego widok „pokrzepia jakoś — mówi autor — i dodaje otuchy; on ostatni, jedyny który tu został, ale został i kościół i te klasztorne schody trzymające w posiadaniu, a z tym swoim palcem na ustach tak wygląda, jakby chciał mówić: „Cicho, nie mów nikomu, ale my tu wrócimy...”

Niezwykły to i bardzo osobliwy rodzaj doznań, kiedy to co zdawałoby się martwe i materialne zostaje nagle ożywione. Dialog z duchami książąt, czy też, jak u Tarnowskiego — z wyrzeźbionym cystersiem, jest dialogiem duszy, która od wieków swe tęsknoty i pragnienia tak chętnie wyraża właśnie w półmroku oliwskiego oratorium.

Motywy przywoływanej polskości, która powróciła ma znów w mury kościoła, to nie pierwszy i nie jedyny literacki ślad zamierzonego profetyzmu. W zakończeniu sonetu „Oliwa” — Stefana Bieszką czytamy:

„Ach! czyliż znowu, Wielki Swantopelku,
Oliwa twa zabrzmi od sławy zgiełku?
Kiedy zaszumi ludna — w twojej mowie?”

Jeden z ostatnich Młodokaszubów — ks. dr Kamil Kantak kończy zaś swe, wydane w Jerozolimie

„Dzieje ziemi pomorskiej” wierszem pt. „Zmartwychwstanie”. Tekst powstał podczas I wojny światowej i brzmi następująco:

„W oliwskiej katedrze cudowne na nas spłyną
Uroki i drżący wkrzesim prochy książęce,
Radosne oblicza, błogosławiące ręce,
Pomorze spod wieków zmartwychwstałe żaloby
I gród Swantopółka, sławny, pełen ozdoby”.

I jeszcze jeden utwór, o którym zapomnieć nam nie wolno skoro o katedrze oliwskiej mowa. Chodzi o obszerną powieść Franciszka Fenikowskiego „Zapadły zamek” (1958 r.). Bohaterem jej jest Florian Ceynowa, postać autentyczna, przyszły twórca idei regionalnej na Kaszubach. W chwili gdy pojawia się w świątyni, do której według niepisanego kodeksu ludowego każdy Kaszuba przynajmniej raz w życiu odbyć musi pielgrzymkę, gdyż w przeciwnym wypadku jego dusza pokutować tu będzie po śmierci, a więc w momencie tym Florian liczy sobie zaledwie kilkanaście lat.

I on w cieniu czarnego sarkofagu nawiązuje niejako kontakt duchowy z korowodem postaci w zbrojach i koronach, z mężczyznami, „co zamarli tu w uroczystym bezruchu”. Oczekuje od nich odpowiedzi na pytanie „co robić”. Pytanie ważne, gdyż na widok jednego z portretów, który przedstawiał rycerza w białym płaszczu naznaczonym czernią krzyża, pragnie zostać współczesnym pomorskim Wallenrodem, „rycerzem wybranym”, — co „pomści zdeptaną ojczyznę i zdruzgoce potęgę wrogów”. Lecz te chłopięce rojenia wygasają natychmiast, gdy „pod smagającymi spojrzeniami Subisławów, Świętopelków i Mestwinów poczuł naiwność i śmieszność swoich zamiarów.

KASZUBSKI ŻYWIOL

Moglioby się zdawać, iż cała nasza literatura nawiązująca do motywu bazyliki katedralnej jest śmiertelnie poważna, przesłanną jedynie patriotyczną retoryką, tendencyjna i dydaktyczna zarazem. Być może byłoby i tak istotnie, gdyby nie ów ludyczny żywioł kaszubski, który bez odrobiny humoru i swojej ironii obejść się nie może. Potwierdza tę prawdę już XIX-wieczny poemat Derdowskiego, a ściślej — zawarta tam scena egzaminu, jakiemu poddawany jest pan Czorliński. Pytania pochodzą z tzw. „katechizmu ludowego”, a że tytułowy bohater zna odpowiedź na każde z nich, przeto z woli oliwskiego organisty awansuje na stanowisko najwyższego dmuchacza organowego — „kalkulatora”. Nie mniej zabawny jest epizod z „Zapadłego zamku”.

Oto Florian przypatruje się pogrążonej nad otwartym modlitewnikiem matce i zwraca staruszcze uwagę, iż trzyma książkę „do góry nogami”. „Jezus, Maria, Józef! — spieszyła się — gwesno mnie ję dzece doma przewróce! — czytamy.

I wreszcie uwaga zanotowana przez najwybitniejszego z leksykografów kaszubskich ks. dr. Bernarda Sychtę na temat pobożności mieszkańców osady nazwanej przez innego pisarza kaszubskiego „stolicą świętą”. „W Olëwie lëdze są tak pobożni (mówi się na północy), że choćby chto na puńce (funcie) masła do koscela wjachal, to oni się nie będą obzerale ani smiele”.

Trudno wyobrazić sobie, by piszący o katedrze nie dostrzegli jednego z najosobliwszych jej skarbów, jakim są sławne w całym świecie, XVIII-wieczne organy — dzieło cystersa Michała Wulffa i dwudziestu innych zakonników. W wydanym niedawno „Pielgrzymkowaniu” Eugeniusz Gołabek, zafascynowany melodyjnością mowy kaszubskiej, oddaje skalę dźwięków płynących z monumentalnego instrumentu właśnie w materii rodzimego słowa. „Nôprzód pomalë, potem chutczì, i ju — jak pod ręką oszłalego mestra — nêkô ostro w górë, pod niebo, corôz to wëszì, jaż... do czëpu wieżë. I stoi, graje i zwęczy. I ostôw w ny niepojęti, niebezpieczny wëszawie, jak... wëlejcałô, wiezató, gotickô katedra”.

I wreszcie ostatni utwór, który chciałbym tu przytoczyć. Wiersz kaszubskiego poety Alojzego Nagla „Olewa”, jakże prosty i lapidarny, a jak wiele zawierający treści i tematów do refleksji:

Paweł Zbierski

**SZLOCH JEZIORA
WDZYDZKIEGO**

Pani Zofii Bądkowskiej

widziałem nad ranem
pływaka
zapatrzonego
w podwodne glony

tam kielkowało
pole obietnic
proszące o nawiedzenie

On usiadł
na wieki

Boże
daj Mu
urodzaj patrzenia
w sam środek słońca

Zdzisław Ossowski

* * *

ostatnia noc
jedyna
niepowtarzalnie krótka
jak błyskawica
by reflektorem wzroku
spojrzeć
w mroki minionych lat
zbyt krótka noc
zbyt mroczne życie

„Sławetne sztęrczi
danię w marmurze,
Kaszëbszi Wawel,
o pocuszku
szukô historëji...

Niemy Kos
zadoczonoma
oczyma zdrzy —
Le orglëca
zwęczy
i szëmi
park”.

Rozważania niniejsze rozpocząłem od chronologicznie najstarszego źródła literatury pisanej, jakim jest anonimowa tradycja ustna. Chcę zauważyć, że zupełnie niezależnie od literatury ogólnonarodowej, która w przeszłości mniej i bardziej odległej wypowiadała się o tej pocysterskiej świątyni raczej okazjonalnie i to często w konwencji literackich listów i notatek z podróży, pisarze kaszubscy i kaszubsko-pomorscy czynili to w sposób jakby dojrzały i znacznie bardziej urozmaicony pod względem gatunkowym. Spostrzeżenie to w pełni zdaje się również potwierdzać współczesne piśmiennictwo regionalne.

O kaszubskich wątkach w twórczości Güntera Grassa

Bolesław Fac

Poszukując wątków kaszubskich w twórczości Güntera Grassa, starannej lekturze jego książek towarzyszy przekonanie, że główną inspiracją jest pochodzenie autora. Jak wiadomo, jego matka pochodziła z rodziny kaszubskiej, zamieszkałej i uprawiającej ziemię we wsi podgdańskiej, Bysewo, a więc na wschodnim krańcu ziem, nazywanych Kaszubami. Nazwa ta miała się narodzić gdzieś w Mecklenburgii i wędrowała na wschód, ustępując przed kolonizacją niemiecką łącznie z reformacją i niemieckim językiem liturgicznym, poprzez Pomorze Zachodnie aż do Pomorza Gdańskiego, gdzie pozostała na dłużej. Dziś mianem tym określa się tereny między Wisłą na wschodzie a rzeką Słupią na zachodzie, na południu oparte o rzekę Brdę, a na północy schodzące do wybrzeża Bałtyku. Ziemię tę zamieszkuje około dwustutysięczna ludność etnicznie wyróżniająca się spośród innych w Polsce, przede wszystkim przez mowę. Rodowód tej ludności uczeni wyprowadzają z zachodnich Słowian, a sami Kaszubi mają się za potomków Pomorzan.

Podobnie mowę Kaszubów należy wywieść z tego samego pnia; jej pozycja następcza od lat wielu dysput i kontrowersyjnych sądów. Stan obecny charakteryzuje się w ten sposób, że „kaszubszczyzna nie jest wprawdzie jeszcze dialektem języka polskiego, ale pozostaje z tym językiem w stosunku bliskiego pokrewieństwa” (F. Neureiter, „Historia Literatury Kaszubskiej”, Gdańsk 1982).

Ten wstęp w studiach szczegółowych należałoby poszerzyć o wątki legend, pieśni i obyczajów, a więc o te elementy, które poruszone wpływają na wyraz artystycznej literatury powstającej wokół nich. Jak dalece z takim przypadkiem mamy do czynienia w twórczości Grassa?

Liryka autora „Blaszanego bębena”, zgodnie z gatunkiem, nie niesie tak nazwanych motywów tematycznych. Polskie wątki niektórych wierszy nie dają materiału dla naszych rozważań. Przechodząc do prozy; najwyrazistszą fascynację tematyką kaszubską znajdziemy w trzech powieściach — przede wszystkim w „Blaszanym bębenu” (Warszawa 1983, przeł. Si. Blaut), a także w powieści „Aus dem Tagebuch einer Schnecke” (Darmstadt 1978, przeł. B. Fac) i szczególnie w powieści „Der Butt” (Darmstadt 1978, przeł. B. Fac). Każda z tych powieści ujawnia inne warstwy znaczeniowe; kiedy „Blaszany bębenek” wywodzi kaszubskość z arkaidii rodzinnej, „Der Butt” z warstwy historycznej, konkretniej z historycznych Pomorzan. Bardziej powierzchowny obraz Kaszub i Kaszubów w „Tagebuch einer Schnecke” odsłania jednak sporo uwag o autorstwie na interesujący nas temat.

Czego byśmy więc szczególnie poszukiwali w tych trzech książkach? Jakich odniesień? Zaczniemy może od krajobrazu. „Aleje nad piaszczystymi drogami, samotne linie kolejowe, ciemny las, lekko pagórkowate pola, od pagórka do pagórka pogłębiający się horyzont. Nad tym również nad wieczorem jasne niebo. Drogi prowadzące w głąb lasu, przez wznieślenie, kręte jak węże rzeki. Ciszka. Dal. Tej krainie też bym zawierzył!”).

To jeszcze nie opisy Grassa. To wrażenie Schlöndorffa, który jechał do Gdańska ze Słupska, a więc przez serce Kaszub, na plan zdjęciowy „Blaszanego bębena”. Tej krainie jednak reżyser nie zawierzył, bo kaszubskie kartofliska kręcił na płaskich Żuławach, wyznając z naiwną szczerością, że „Kaszuby są bardzo pofałdowane, z wieloma jeziorami i lasami, kiedy ja przy lekturze wyobrażałem sobie zawsze szeroką, nieskończone płaską krainę”.

A jak sobie wobec tego wyobrażał krajobraz swo-

ich Kaszub Grass? Oskar zaczyna swoją opowieść zdaniem: *Zaczynam od wieków odległych*. (Kiedy Schlöndorff przystępował do udźwiękowienia filmu, wprowadził takie tło muzyczne, by np. w scenie na kartoflisku muzyka ta „brziała jak dźwięki pramatki ziemi”²). Więc może nie należy odtwarzać tego, co przetrwało do dnia dzisiejszego, co jeszcze kusi nas widokiem, a zmyśleć to, co się śni, co wymarzone?

„Blaszany bębenek” zaczyna się opisem kartofliska, bo kartofle według Grassa zostały rozpowszechnione przez Kaszubów i stanowią kwintesencję tej ziemi: *Pewnego październikowego popołudnia moja babka Anna Brońska siedziała w swoich spódnicach na skraju kartofliska... Przed... podeszwami trzewików tliło się ognisko z naci ziemniaczanej, niekiedy odżywiającej astmatycznie, snużące się płaskim i rozwleczonym dymem ponad leciutko nachyloną skorupą ziemi*.

Snuje się ta opowieść, jak się snuje dym z ognisk jesienią na polu. To nie takie proste — wzdycha po chwili pensjonariusz Oskar — *odtworzyć kłęby dymu kaszubskich ognisk*. Później w „Butt”, kiedy dojdzie do siódmej kucharki, Amandy Wojke, opisz jej twarz: *Miała kartoflaną twarz. Dokładnie: piękno kartofli świeciło w jej twarzy codziennie... Również jej usta, które nie mięsistość czerwieni warg, lecz kaszubskie piachy barwiły, była dobrym usposobieniem natury: dwa obrzmienia, zawsze gotowe tworzyć takie słowa jak bulwa, brukiew, burak. Być całowanym przez Amandę, to znaczy otrzymać od ziemi, w rozumieniu tych suchych gruntów kartoflanych, które uczyniły Kaszuby sławne, głośnego całusa, który nie był przelotny, lecz który sycił, jak nas ugotowane, nieobrane ziemniaki sycą. Ten wielki, nie kończący się temat kaszubskich kartoflisk autor — Oskar prezentuje nawet wtedy, kiedy gra na perkusji koncert. I nic nie jest w stanie tego obrazu przyćmić: Nawet Pole Marsowe zamieniało się w kaszubskie kartofliska, paryski październikowy deszcz spadał ukośnie i nieustrudzenia między Bysewem a Rębichowem. („Blaszany bębenek”).*

W „Tagebuch einer Schnecke” pośród wielu opisów miasteczka powiatowego Kartuzy znajdzie się jeszcze opis ogrodu, w którym parę jabłoni i wisien. Ogródek od frontu był wąski: krzaki agrestu, słoneczniki, kasztanowce. Ale od tego ogrodu z tyłu biegły pola kartoflisk zafalowanymi terenami aż do lasu. Drewniany płot otaczał parcelę Stommy. W podwórzu, za przepierzeniem, gdzie króliki i za wychodkiem, rosły pokrzywy pod bzem. Te zdania nie tchną bogactwem i nie zapewniają sytości, którą niesła uprawa kartofli. O Kaszuby! Twoje wspaniałe piachy! — wykrzyknął ośniony Butt/Grass, bo te piachy pozwoliły jego Amandzie przeżyć swoje życie twórczo, a kartofle kaszubskie upowszechnić jako pożywienie.

W „Blaszanym bębenu” zaczęło się od kartofli, ale przedtem — jak przeczytamy później w „Butt”: *Ryba, obok owsianki, kaszy gryczanej i zbożowej, korzeni i mięsa owczego, była głównym pożywieniem Pomorzan i długo Kaszubi nie chcieli się przyzwyczaić do kartofli; jak ryż jedzącym Bengalczykom, jeżeli nawet głodują, kaszka manna jest wstrętą. Dlatego Kaszubi długo jeszcze jedli niewystarczającą prosa, nim się w końcu nasycili gotowanymi kartoflami. Daleko więc jeszcze do czasów przy Labesweg, Langfuhr, w czasach Rentenmarki, kiedy to za guldena dostawało się mendel (jaj), a masło kaszubskie było tańsze od margaryny... i kiedy to Matzerath wniósł do pokoju zabite, wypatroszone, wymoczone, ugotowane i przyprawione do smaku*

węgorze... wyliczając wszystkie składniki, recytując cały przepis, mama krzyknęła. Krzyknęła po kaszubsku. Tego Matzerath nie rozumiał, ani nie znośił. Jak z tego widać, nie nie mogło Kaszubom zastąpić kartofli i choć Jan chcąc mamę uspokoić przemawiał do niej uspokajająco po kaszubsku, węgorze przyprowadziły mamę o śmierć. Stypa musiała trwać odpowiednio długo... Jedzenie było tłuste, potem słodkie, potem znów tłuste. („Blaszany bębenek”). To się długo nie miało zmieniać, by słodkie, co gorzkie życie łagodzi, nie podawano na Kaszubach przed tłustym.

Ale wytrwałość nie wydaje się być cechą charakteru Kaszubów. Są mało stali, raczej lekkomyślni. W zasadzie są to ludzie w każdym calu cudowni, jak Jan Broński, a przy tym po kaszubsku rzeczywiście („Blaszany bębenek”). Ten prostoduszny, rzeczywisty Jan Broński nieźle reprezentuje Kaszubów, bo jednak jest Kaszubą, choć sytuacja każe mu niekiedy być polskim dandysem.

Dotykamy tu delikatnej na Kaszubach materii życia erotycznego. Wydaje się, że Grass, jeśli o to chodzi, przedstawia w swoich książkach bardziej swoje wyobrażenia o tej sprawie, niżby to mogło się zdarzyć w rzeczywistości. Oprócz bowiem plejady kochanków z rodziny Brońskich i Koljaczków, znajdziemy innych, równie pomysłowych, że wspomnijmy chociaż Oskara, tego pół-Kaszubę, z jego pomysłowością w zdobywaniu kobiet (patrz — proszek musujący, chodnik kokosowy). W „Tagebuch einer Schnecke” pojawia się nawet częściowo dobrotniwy sadysta z Kartuz, Antoni Stomma, który nie przepuszcza żadnej okazji, by przechowywanego w swojej piwnicy Żyda tłuc skwapliwie pasem... Szczytem perwersji godnej najokropniejszych świętokradców jest rozpasanie Małgochy Rusch. Już zresztą w „Blaszonym bębnie” kochankowie przechodzili z rąk do rąk. A kiedy Maria zbliża się nieśmiało do mojej mamy... mama wybucha swoim kaszubskim śmiechem: „Ależ dziewczyno, któż by tu miał skrupuły. Przecież obie wyszłyśmy za mąż za Matzeratha i obie zadawałyśmy się z Brońskim”. Jak z tego widać, życie erotyczne Kaszubów, przynajmniej w powieściach Grassa, nie było zbyt jednoznaczne, a kobiet kaszubskich nie da się byle słowem speszyć.

Ta lekkomyślność, mająca swe źródło w fantazji wpływa deprymująco na Kaszubów, nawet ich patriotyzm jest pogmatwany. Z jednej strony z zasady bezpartyjni („Butt”), wcześniej uczą się jak Antoni Stomma nienawidzić Prusaków i ich nauczycieli: wszystko co niemieckie było dla niego pruskie („Aus dem Tagebuch einer Schnecke”). Ale dwadzieścia lat później ten sam Stomma wybijając korek z szyjki butelki, dał po sobie poznać, że nie wie co jest bezpieczniejsze: jako Kaszuba pozostać Polakiem — czy jako Kaszuba dać się zniemczyć. Jan Broński wybrał rolę niebezpieczniejszą. Ale czy świadomie? Znowu Kaszubi musieli przetrwać.

Na chrzcinach Kurta Oskar zobaczył swoich dziadków z innych powodów. Oboje starszków zniemczono. Nie byli już Polakami i tylko śnił po kaszubsku, a babka wręczając Matzerathowi prezent chrzestny dodała: „A nie gadajże tak, Alfredku. Przecież to nie kaszubska gęś, ale niemiecka, a smakuje tak samo jak przed wojną!” W ten sposób rozwiązano wszelkie problemy narodowościowe. Ta sama babka, pod koniec powieści, wypowiada na ten temat parę gorzkich słów: „Tak to już jest z Kaszubami, Oskarku. Zawsze dostają po głowie. Ale wy teraz wyjedźcie... i tylko babcia zostanie tutaj. Bo Kaszubów nie można przenieść nigdzie, oni zawsze muszą być tutaj i nadstawiać głowy”. („Blaszany bębenek”). Tak, wielu pozostało na zawsze, jak owa dziewięćdziesięcioletnia kucharka proletariacka, Lena Stubbe, którą już w 1941 zawleczono do obozu w Stutthofie i tam zatłuczono na śmierć.

Okrutne związki historii z literaturą coraz ostrzej dochodzą do głosu przy lekturze następnych, po „Blaszonym bębnie”, powieści. I dlatego tak ważne jest, by te następne powieści ukazały się w Polsce. Otrzymamy wtedy pełniejszy przegląd literackiego dyskursu, jaki w swojej twórczości prowa-

dzi Grass z historią i współczesnością tych ziem leżących nad Wisłą.

Niekiedy ratuje się baśnią literacką. Tu na tych ziemiach, jak pisze w „Blaszonym bębnie”, zawsze było tłoczno. Najpierw przyszli Ranowie, potem Goci i Gepidowie, następnie Kaszubi, od których w prostej linii pochodzi Oskar, wkrótce później Polacy wystali Wojciecha z Pragi. Ten przyszedł z krzyżem i padł od topora Kaszubów albo Prusów. Bolesław zlecił cuda czyniące zwłoki przewieźć do Gniezna, gdzie do dziś są czczone, zaś kraj został podniesiony do rangi prowincji, ponieważ mieszkaliśmy nad morzem, po starostwianku nazwani Ponorzanami... Nas, Pomorskich, pobożny Bolesław nazwał przyjaźnie protekcyjnie Kaszubami.

A więc słusznie uważają się Kaszubi potomkami Pomorzan, w każdym razie Grass chce nas w tym utwierdzić. To, co było przedtem nienamacalne i to, co szybowało nad wieżą Eiffla, co pogrążało się w Polach Elizejskich, nieczym w kartofliskach Bysewa, teraz miało otrzymać nowe tchnienie, analogii historycznej. Nowa baśń kaszubska w powieści „Der Butt” bierze swój początek z literatury: Maria nie chciała się zatrzymać i go troszeczkę powspominać. „Proszę, Mario”, powiedziałam, „on był tak wspaniałym gawędziarzem. Jego teza, że Fortinbras z „Hamleta” Szekspira poprowadził duńskie oddziały zaraz po zakończeniu tragedii na Kaszuby, gdzie Świętopelk Fortinbrasa pobili, to ważne poznanie nie zostało przecięt jeszcze do dziś odparte!” Pod koniec powieści, w rozdziale pt. „Aż do wymiotów”, Grass przywołuje dalsze świadectwo Jana: Jego cykl wierszy o Damroce, córce księcia Mestwina, pierwszej przeoryszy klasztoru w Żukowie, spowodował, ponieważ nasycony mocnymi metaforami erotycznymi, obok przychyłnej krytyki, protest kaszubskiego zrzeszenia kulturalnego. Dyskutowano na temat jego tezy, czy ów wódz, którego książę Kaszubów Świętopelk doszczętnie pobili, był Duńczykiem Fortinbrasmem, utrzymującym w końcowej scenie „Hamleta” jakoby wrócił zwycięzcą z Polski.

A więc jak jest z owymi Kaszubami u Grassa? Gdzie należy ich szukać? Na kartofliskach Bysewa? Na Polach Elizejskich? W Danii księcia Hamleta? A może miejsce nie powinno być konkretnie nazwane? Ani Pomorze, ani Kaszuby, ani Gdańsk... W „Hundejahre” autor wyznaje, iż chodzi o mikrokosmos ulicy Labesweg, miejsce akurat tak wielkie i tak małe, że wszystko, co się na tym świecie wydarza lub wydarzyć może, wydarzyło się tu lub mogło się wydarzyć. Teatr pisarza. Scena świata wyobraźni. Kaszuby.

Więc kartofle mogą oznaczać po prostu sytość, spódnice babki Kaszubki — poczucie bezpieczeństwa, a kaszubskość — rodzaj arkadii, sentymenty do krainy dzieciństwa, do której zawsze wracamy. Nie ma ucieczki bez wytkniętego celu... Dokąd chcesz uciekać, Oskarze? — zadałem sobie pytanie... Z przyczyn zdecydowanych poza mną, musiałem więc wyrzec się czterech spódnic babki Koljaczkowej, które po dziś dzień ofiarowując schronienie wzdymają się na kaszubskich kartofliskach. („Blaszany bębenek”).

Gdybyśmy jednak przyjęli, że fascynacje kaszubszczyzną mają swoje źródło przede wszystkim w pochodzeniu rodzinnym autora, to w konsekwencji musieliśmy również przyjąć, że matka autora, Kaszubka, jest pierwowzorem bohaterki „Blaszanego bębna”, matki Oskara czyli Autora-Narratora, jak i jej matki, babki Koljaczkowej i całego rodu Koljaczków, który pozostał w małej wiosce Bysewo, pod Gdańskiem. A także i tej części rodziny, która wyemigrowała stamtąd w świat.

Nie należy jednak wysuwać zbyt daleko idących wniosków; owszem, powieści Grassa inspirowała rzeczywistość rodzinna: i ta kaszubska i ta niemiecka, drobnomieszczańska, lecz choć sympatia jest po stronie Kaszubów i Polaków, różnie rozłożone są akcenty — dobrotnego humoru, gorzkiej ironii, sarkazmu czy złośliwości... Wskazują one, że chodzi o coś ważniejszego niż wspomnienia z dzieciństwa. Kaszubi Grassa są przede wszystkim jego subiektywnym wyobrażeniem o Kaszubach, zarów-

no takim, jaki wyniósł z domu przy Labesweg, jak i odkrytym później, z podręczników historii, z przekazów ustnych i spisanych. Gdyby wymierzyć tę prawdę, to byłaby to prawda wrażliwego pisarza, który tej kaszubskości używa w powieściach jako bardziej autentycznego, bardziej rzeczywistego medium w przeciwstawieniu owemu zaduchowi drobno-mieszczkańskiemu. W „Tagebuch einer Schnecke” kaszubszczyzna służy Grassowi dla przedstawienia tego, co między Melancholią a Utopią, co między Żydami, skazanymi na zagładę, a Kaszubami, którzy po pijanemu wykrzykują hasła o wolności, by w końcu popaść w Zwątpienie. Uhistorycznienie „Butta” zaś jest jak sądzę próbą uszlachetnienia pozycji ludu kaszubskiego, jako literackiej rekompensaty praw, które ten lud utracił lub których nigdy nie uzyskał, wciśnięty między prężniejsze narody.

Co w „Blaszonym bębenku” było śnieniem, w „Tagebuch” refleksją między Freudem a Marksem, w „Butt” jest olśnieniem, odkryciem przed sobą samym baśniowości historycznej na tyle nieprawdopodobnej, że się sprawdza, gdyż swój początek biedze z pustych miejsc w płocie Historii. (Rolf Michaelis w swojej recenzji z „Butt” wyraża żal, że historia niemiecka nie przebiegała jak to pisano w powieści, gdyż „od tak szalonych scen opóźnionej utopii promieniuje pogodna siła.”). Właśnie dlatego to nie może być historia niemiecka, gdyż taka historia naprawdę tu istniała. W książkach Grassa jest baśń kaszubska, bo tylko bajka może być prawdziwa. Stać się mitem.

Najważniejsze jednak przesłanie zawarte jest w „Blaszonym bębenku”. Z podróży do Gdańska wyniósł pisarz wiedzę o nietrwałości kultury mieszczańskiej, z podróży na Kaszuby przeciwstawne przekonanie. Według Grassa w Bysewie wszystko było normalniejsze, związki między ludźmi autentyczniejsze, pożądanie dotyczyło przede wszystkim sfery miłości. Działania ludzi miały ważny związek z codzienną egzystencją — konsekwencja utrzymywania wielodzietnej rodziny na niewielkim gospodarstwie rolnym.

Ucieczka Agnes, a później Jana Brońskiego do miasta, zmieniała tę perspektywę. Agnes wchłania środowisko mieszczańskie niemieckie, gdzie kochana mama Oskara traci swoją kaszubską dziewczicość. Struktura Wolnego Miasta Gdańska otworzyła przed Janem szansę awansu w wielkim mieście, gdzie mógł wykorzystać swoje kwalifikacje nabyte w polskiej szkole w miasteczku powiatowym. Jan mógł więc pozostać przy swojej kaszubskości, bo polszczyzna była jej bliższa od niemieckiej. Ale choć Agnes musiała i chciała się w Gdańsku określić na niemieckość, jak Jan na polskość, oboje nie utracili siebie z oczu, chciałoby się rzec, że trwali w swoim kaszubskim uporze.

Odrębność kaszubska to było ważne poznanie dla pisarza. Ten porzucony na pastwę powojennego Berlina Europejczyk, mówiący i myślący po niemiecku w kaszubszczyźnie mógł znaleźć oparcie. I tym dziedzictwem odczarować swoje schizofreniczne sny niemiecko-kaszubsko-polskie. Jako Kaszuba mógł być sobą. *Ja nie jestem Janem. Jestem półkuzynem Marii. Obok mnie: ja. Poza mną: ja. Zawsze uciekające, przesunięte w czasie, podstępnie. Gdzie historii brakuje kołka w płocie. Postuchaj Mario. To się stało wtedy, gdy Mestwina nosiła na szyi przeze mnie dziurkowany bursztyn. Od jej córek i cór jej córek pochodzą Sambor, Mestwin, Świętopelk i księżniczka Damroka... („Der Butt”).*

A zaczęło się od trzeciej kucharki, Mestwiny, która panowała między bagniskami ujścia Wisły, przed morzem, po morzu, że lud rybacki, który sadził już korzenie, u sąsiednich Prusów nazywany był Pomorzanami. I Małgocha Rusch, piąta kucharka jako przeorysza Brygidek, jedna z tych swobodnie żyjących zakonnic, która brała do swego wyrka co jej pasowało. I szóstka kucharka, Agnieszka Kurbiella. *To było wtedy, kiedy Agnieszka jeszcze naiwnie kaszubska była, malarzowi gdańskiemu, Antoniemu Möllerowi dziecko dała, a pocie i sekretarzowi króla Władysława, Martinowi Opitzowi prowadziła gospodarstwo, zaostrzała gęsie pióra i w*

ogóle poprawiała nastrój. Siódma kucharka, która siedziała w środku pisarza, nazywała się Amanda Wojke. (O niej i o jej uprawie sadzeniaków była już mowa.) I ósma — Zofia Rotzoll, która otrula kaszubskimi grzybami gubernatora napoleońskiego i dziewiąta kucharka, Lena Stubbe, która ułożyła proletariacką książkę kucharską, a sama kucharka dostała się do Stutthofu, gdzie zginęła i dziesiąta, słodka Sybilla, która tragicznie zginęła, nie dlatego, że chciała wrócić do swej uległej kobiecości, ale z powodu agresywności zakompleksiałych męskością niedorostków... I wreszcie, pracująca w stołówce Stoczni Lenina w Gdańsku Maria, z którą autor już bezpośrednio jest spokrewniony.

W końcu my, Kaszubi, jesteśmy wszyscy poprzez parę miedz ze sobą spokrewnieni. Tako rzecze Turbot.

1. Volker Schlöndorff, „Die Blechtrommel” — Tagebuch einer Verfilmung, Darmstadt 1979 (przeł. B. Fac).

2. Jak wyżej.

3. Rolf Michaelis, „Mit dem Kopf auch den Gaumen aufklären”, Frankfurter Rundschau, 31.3.1979 (przeł. B. Fac). * Referat wygłoszony na sympozjum pt. „Polska lektura Grassa”, które się odbyło w Centralnym Klubie Studentów Uniwersytetu Warszawskiego „Hybrydy” pod protektorem merytorycznym prof. Marii Janin w dniu 21 maja 1985 roku.

Kątem oka Czajka

Autobus z Dziemian do Somiń odjeżdża kilkanaście minut przed przybyciem pociągu z Gdyni. Podróżnemu pozostaje czekać trzy godziny na następny kurs, lub udać się na piechotę. Wybrałem tę drugą możliwość: droga do Somiń wiedzie przez żywiczny las, a dystans do pokonania nie należy do maratońskich, wynosi około 10 km. Szosę od kilku lat pokrywa asfalt, więc można liczyć na okazję.

Do Trzebnia jedynym pojazdem, który mnie minął był rower. Dopiero po ponownym zanurzeniu się w las usłyszałem warkot zapowiadający szansę szybszego dotarcia do celu. Zza zakrętu wypadł z dużą szybkością samochód. Osobowy, ale nietypowy. Tak ogromny, że chciałoby się użyć określenia krążownik szos, gdyby nie było zawarowane dla pojazdów zza oceanu, a nie zza Buga. Lśnił czernią lakieru, miał trzy pary drzwi, w środku trzy rzędy siedzeń. Takie auta widuję się w telewizji: ich pasażerami są dostojnicy zagraniczni, głowy państw. Nawet nie machnąłem ręką na widok reprezentacyjnej „Czajki”, w której wygodnym wnętrzu rozpierali się jacyś dyplomaci pedząc zapewne na spotkanie z odyńcem czy rogaczem, bo coś innego mogłoby sprowadzić tej rangi osoby w te lasy?

Zdziwiłem się bardzo, gdy po dobiec do Somiń (na piechotę, niestety) zobaczyłem „Czajkę” zaparkowaną przed domem w środku wsi. Właśnie do furki podchodził mężczyzna nie wyglądający na dyplomata, spytałem więc, wskazując na samochód, co to za goście zagraniczni nawiedzili Somiń? Zagadnięty odparł krótko i nie bez dumy, że „Czajka” jest jego własnością. Odpowiedź na następne pytanie, jak wszedł w posiadanie takiego wozu, była dłuższa.

Swego czasu przeczytał w gazecie ogłoszenie, że straż pożarna w Ustce zamierza sprzedać — drogą licytacji — samochód marki „Czajka”. Mój rozmówca — Aleksander Lorbiecki, mieszkaniec Somiń — od dawna marzył o aucie, które ustawione przed kościołem podczas niedzielnej przejazdu zamożności kaskasowałoby inne. I oto taka możliwość zaistniała. Wziął oszczędności (180 tys. zł) i pojechał na licytację. Chętnych nie było zbyt wielu, za to sami uparci, chociaż nie bardzo było o co się bić. „Czajka” wystużona, w wieku starczym. Wozila przez kilkanaście lat generałów, potem komendanta straży pożar-

nej, gdyż wojsko przekazało ją gascielom ognia w Ustce. Gruchot, na dodatek pożerający — jak się okazało — 28 litrów benzyny na 100 km. Wszystko to nie zraziło jednak licytantów, z których szczególnie trzech wciąż podbijało cenę, nie pozwalając licytatorowi wykonać trzech wieńczących sprzedaż uderzeń młotkiem. Lorbiecki odpadł po przekroczeniu kwoty, którą miał w kieszeni. Pozostało dwóch kandydatów, z których jeden spasował przy sumie 210 tysięcy. „Czajkę” kupił za taką cenę taksówkarz z Miastka.

Przeigrana nie osłabiła chęci posiadania reprezentacyjnego auta przez Lorbieckiego. Dyskretnie interesował się jego losem, z nadzieją, że taksówkarz wystawi go wkrótce na sprzedaż, choćby ze względu na te 28 litrów benzyny. I nie pomylił się. Okazało się jednak, że nie tylko on czekał na taką chwilę, że losy „Czajki” śledził również inny uczestnik licytacji — ten, który zrezygnował dopiero przy cenie 210 tysięcy. Ubiegł Lorbieckiego, który mimo to nie pożegnał się z nadzieją, że w końcu spełni się jego marzenie. „Czajka” znalazła się teraz bliżej Somin, w oddalonej od nich o kilkanaście kilometrów wsi. Nowemu właścicielowi oświadczył, że gdy mu się znudzi samochód, nie będzie musiał daleko szukać kupca.

Pewnego dnia odebrał telefon: jeśli chce kupić, ma niezwłocznie przyjechać. „Czajka” nie była na chodzie, w czasie jazdy urwał się korbówód, właściciel ściągnął samochód do domu i od tego momentu miał go serdecznie dosyć. Lorbiecki zorientowawszy się w sytuacji, gdy padła cena 180 tys. zł odparł z nonszalancką, że za takiego grata nie dałby nawet 150 tysięcy. A ile? Najwyżej 100. Ciężko mu było nazwać obiekt swoich marzeń gratem, ale sentymenty na bok, gdy jest szansa utargowania. Właściciel nie przystał na tak niską kwotę mając w pamięci, że wydał dwa razy więcej. Lorbiecki postanowił poczekać, mimo że — jak twierdzi — na niczym mu tak w życiu nie zależało jak na tej „Czajce”.

Nie trwało długo — znowu telefon. Właściciel wyjechał do RFN, samochód zostawił ojcu mówiąc, że jest taki gość w Sominach, który chce go kupić za 100 tysięcy. Dzwonił ojciec właściciela. Lorbiecki powiedział mu, że teraz i 100 tysięcy to za dużo. Kupił za 80, mniej nie udało się wytargować.

Lorbiecki służył w wojskach samochodowych, zna się na naprawach. Wyremontował „Czajkę”, paliwożerca silnik wymienił na diesel, któremu wystarczy do pokonania dystansu stu kilometrów 7,5 litra ropy. Spala mniej niż maluch, a jaki efekt! Auto mieści osiem osób. Z całej okolicy proszą teraz Lorbieckiego, żeby swoim wozem oświetlał wesela. W całym województwie słupskim, a pewnie i w sąsiedztwach z nim nie ma drugiego takiego auta, w którym zmieściłaby się młoda para, świadkowie i rodzice panny młodej, nie mówiąc o jego prezencji.

Na co dzień właściciel „Czajki” jest listonoszem w Studzienicach. Do pracy i w pracy jeździ na motorowerze.

EDMUND SZCZESIAK

Z reporterskich wędrówek Obserwator

Stanisław Janke

O tej przygodzie marzyłem od dawna. Zobaczyć krajobraz Pojezierza Kaszubskiego z Wieżycy, która, jak informują przewodniki, wznosi się 329 metrów nad poziomem morza, a jak mówią wtajemniczeni jest najwyższym wzniesieniem nizinnym od Uralu po Pireneje. Na miejscu jednak okazało się, że z płaskiego szczytu widać tylko gęstwinę lasu, a temat dla reportera — jak to często bywa w okrutnych bajkach — znajduje się jeszcze wyżej, na szczycie drewnianej wieży obserwacyjnej. Strach

odzywa się pierwszy, ale ciekawość nie daje za wygraną.

Wspinając się z nadmierną ostrożnością po szczeblach solidnej drabiny, uporczywie myślę tylko o jednym: nie dać się zwariować, nie spoglądać w dół, wszak cel znajduje się coraz bliżej. A cel to wąski otwór w dolnej części drewnianego i ze wszech stron oszklonego domku, w którym gospodarzy Obserwator, starszy, siwobrody mężczyzna.

— Jak pan się czuje? — pyta zatroskany.

— Dobrze, tylko trochę drżą mi nogi — odpowiadam szczerze.

— To jedynie trzydzieści cztery metry. Kiedyś pracowałem przy budowie wież triangulacyjnych, które sięgały osiemdziesiąt metrów. Więc ja jestem przyzwyczajony do takich wysokości.

Gospodarz prosi bym nieco „odsapnął” i wskazuje na jedyny mebel w tym pomieszczeniu — turystyczne krzesło. Na wąskiej ni to ławce ni to półce stos gazet, na parapetach okien mapy, lornetka i rząd pomidorów.

— Siedzę tu od ósmej rana do ósmej wieczór, więc muszę coś jeść. Sklep w Szymbarku otwierają też o ósmej i jeśli nie pada deszcz, to nie mam kiedy zrobić zakupów — tłumaczy głośno Obserwator, gdyż wiatr hałaśliwie przeciska się przez szpary między deskami, a cała wieża drży niczym parostatek płynący w górę rzeki. Wydaje mi się także, że to małe pomieszczenie (zaledwie jeden krok od okna do okna) chwieje się gwałtownie, ale uspokaja mnie, że to tylko wrażenie. Owszem, wieża kołysze się, ale nieznacznie, co innego wieża Eiffla — na jej szczycie odchylenia są spore.

Trafilem podobno na dobry dzień, na wyjątkowo dobrą widoczność. Rzeczywiście, nawet gołym okiem wyraźnie widać neogotycką wieżę szymbarskiego kościoła. Ale na tym nie koniec widokowych wrażeń. Przez okulary lornetki dostrzec można kościół przy rynku i trumienne zwieńczenie świątyni w Kartuzach, a po przeciwnej stronie — nie do wiary! — wieżę w Starogardzie, do którego jakby nie było jest ponad 30 kilometrów.

Wszystko widziane stać wydaje się być piękne. Nawet paskudne budowle to tylko kostki do gry rozrzucone między pagórkami zieleni i lustrami jezior. Przyjemnie tak na to wszystko spoglądać z góry? Oczywiście. Ale bez przerwy nie obserwuję. Wystarczy, że zerknie za okno i już wie czy wszystko w porządku czy nie.

— Każdą zmianę w krajobrazie odczuwam tak, jak reumatyk zmianę pogody.

Ten sezon na razie spokojny. Dotychczas tylko jeden pożar zgłosił. W 1983, to był obłęd, bodaj tygodnia nie było bez ognia. Więc jak jest spokojnie, czyta gazety, rozwiązuje krzyżówki. To ostatnie lubi najbardziej. A poza tym po prostu siedzi, kontempluje. Wieża to dobre miejsce na rozmyślanie, tu staje przed oczyma obraz całego życia. Jak na sądzie ostatecznym. Na palcach jednej ręki nie zliczy, ile razy uszedł śmierci, na froncie, w oflagu, w pracy, na ulicy. Wydaje mu się jakby to, że dziś żyje, zostało mu darowane.

Tutaj pracuje czwarty sezon.

A właściwie dlaczego podjął się tej pracy?

— Myśli pan, że powiem: bo kocham przyrodę. Bardzo lubię naturę, ale to nie ma nic do rzeczy ... Ostatnio przez trzynaście lat pracowałem w Gdańskiej Stoczni Remontowej, byłem członkiem zakładowej komisji „Solidarności” i po 13 grudnia zamknięto przede mną bramy. Miałem tylko dwa lata do emerytury. W końcu prawo do emerytury uzyskałem, ale nie mogłem za te skromne pieniądze wynajmować mieszkania. Podejmując się tej pracy, otrzymałem darmowe mieszkanie w Leśniczówce.

Obserwator nie lubi o tym mówić. W ogóle mówi mało i niechętnie. Przyzwyczaił się już do milczenia. I ja się temu poddaję. Nie liczą się czas, sprawy do załatwienia, małe i wielkie wydarzenia. Za oknem jest pięknie.

Starcie bez ringu

Stanisław Janke

— Znany pięściarz, mistrz Europy, medalista olimpijski, wielokrotny członek kadry narodowej, dorabiający do renty inwalidzkiej jako recepcjonista w hotelu robotniczym w Żarnowcu — wyliczał z naciskiem znajomy, jakby chciał podkreślić, że to temat nie do odrzucenia.

Reportaż o człowieku, który osiągnął sukces? Porażkę? Czemu nie?!

W leksykonie „Polscy olimpijczycy” wydanym w roku 1971 znalazłem interesującą mnie informację: „Skrzypczak Hubert, bokser, ur. 29.09.43 w Wejherowie (gd.), wykształcenie zawodowe, technik samochodowy, 157 cm, 51 kg. Repr. Wybrzeża Gd.” Najważniejsze sukcesy: mistrzostwa Europy: 1965, Berlin — srebro; 1967, Rzym — złoto. Igrzyska olimpijskie: 1968, Meksyk — brąz.

— Moja kariera sportowa była błyskotliwa, ale krótka — powie Skrzypczak na wstępie w swoim mieszkaniu na Osiedlu Kółkątą w Wejherowie. To prawda, że teraz jest na rencie. Ma trzecią grupę inwalidztwa i jakby na potwierdzenie tego wyciąga powykrzywane ręce, dotyka popuszczanych łuków brwiowych. Od sześciu lat nie dosłyszysz na prawie ucho, od dawna cierpi na wrzody żołądka. Być może te wrzody powstały od uderzeń, z całą pewnością jednak od zbijania wagi. Zazwyczaj walczył w wadze muszej, ale trener często wyznaczał go do wagi lżejszej, papierowej. Takie posunięcia gwarantują ponoć lepszy sukces, ale to oznacza niejednokrotnie parotygodniowe głodówki. W Meksyku musiał zbić sześć kilogramów. Nie był wtedy nawet na uroczystości otwarcia igrzysk. Przy upale sięgającym czterdziestu stopni Celsjusza w cieniu, leżał pod trzema koldrami, by wypocić te zbyteczne kilogramy albo też dla odmiany moczył całe ciało w gorącej wodzie. Oczywiście, o jako takim zaspokojeniu głodu czy pragnienia nie było mowy. Gdy po raz pierwszy wszedł na ring, stanął się z wyczerpania.

W dzieciństwie nawet nie myślał, że zostanie pięściarzem. Pasjonował się tenisem stołowym, piłką nożną. Piłkarstwem szczególnie, gdyż jego ojciec grał przed wojną w pierwszoligowym klubie w Poznaniu. Od czasu do czasu bywał w sali ćwiczeń sekcji bokserskiej wejherowskiego „Gryfa”, lecz ojciec, gdy tylko się o tym dowiadywał, srodcie go lajał. Wciąż wbijał mu do głowy, że boks nie jest dla niego, tylko piłka nożna. I chociaż później grał nawet w trzecioligowym zespole, to jednak doszedł do wniosku, że mimo wszystko futbol to nie to. Był zbyt niskiego wzrostu, by zostać dobrym piłkarzem. Zniechęcony, przez jakiś czas zupełnie przestał się interesować sportem.

Dopiero przed pójściem do wojska pomyślał, że miałby tam lepiej jako sportowiec. Tak zresztą mówili rówieśnicy i ci, co z wojska wyszli. Wystarczyło zapisać się do sekcji bokserskiej trzecioligowego „Gryfa”, by otrzymać zaświadczenie o statusie sportowca. I tam właśnie sprawdzian jego umiejętności bokserskich dał nieoczekiwany wynik: na dwanaście stoczonych walk, przegrał tylko dwie. Potem był jeszcze jeden ważny fakt. Został powołany do zespołu GKS „Wybrzeże” na mecz z „Borowem” Zagrzeb. Wszedł do tego zespołu w miejsce kontuzjowanego zawodnika. Można powiedzieć łut szczęścia, który w pełni wykorzystał. Wygrał z Jugosłowianinem, który miał za sobą 250 walk. To była przepustka do kompanii sportowej, a później do Wojskowego Klubu Sportowego „Zawisza” w Bydgoszczy. Był tam przez dwa lata, czyli przez cały okres zasadniczej służby wojskowej. Stoczył

65 walk, przegrywając tylko dwie. Ale te przegrane miały inną rangę, zdarzyły się już na mistrzostwach Europy w Berlinie.

— Przegrać w potyczkach ligowych — mówi — a na zawodach międzynarodowych, to zupełnie dwie inne sprawy.

Po wojsku przeszedł do GKS „Wybrzeże”. Brązowy medal zdobyty na olimpiadzie w Meksyku okazał się szczytowym osiągnięciem w jego karierze sportowej. Pamięta ten blask jupiterów, oszalał, jęczał, wielkie tytuły na pierwszych stronach gazet, uściski dłoni. Ale jak długo trwa euforia? Dzień, może dwa tygodnie, miesiąc. Potem przychodzi zwykłe dni, często w kolorze fotografii, która została poddana zbyt niemu naswietleniu. Bardzo widoczne są wtedy ciemne plamy. Działacz sportowy, który przymilnie gratulował sukcesu i wyciągał dłoń na przywitanie, omija już z daleka. Inny, który z uśmiechem na twarzy obiecywał to i tamto, już nie pamięta, nie może i tak dalek. Czy zależy mu na tych gestach, nieustającej euforii?

— Nie w tym rzecz — odpowiada. — Chodzi o ludzkie traktowanie.

Nigdy mu nie wypominano, że skoro już nie ma sukcesów, jest niepotrzebny. Tego nie trzeba słyszeć, to się czuje. A dlaczego po Meksyku nie miał już większych sukcesów?

— Uważałem, że to, co zdobyłem, to mi wystarczy. Utrzymanie wysokiej formy wymaga dużo pracy i wyrzeczeń. Trening niemal przez cały dzień, ciągle wyjazdy na obozy szkoleniowe. Jeszcze przez jedenaście lat walczyłem w barwach klubu, ale to już były raczej walki rutynowe. To była moja praca. Bo tak w Polsce jest. Prawdziwe amatorstwo w sporcie istnieje tylko na Zachodzie, obok prawdziwego zawodownictwa.

Działacze z GKS obiecywali mu, że jak skończy karierę sportową, zostanie w klubie instruktorem. Cieszył się, bo zawsze marzył o szkoleniu młodych pięściarzy. Niestety, obietnica została tylko obietnicą. Powrócił więc do swojego zakładu pracy. Mógł już wtedy iść na rentę, ale chciał pracować. Miał przecież dopiero trzydzieści sześć lat.

— Szef już na początku powiedział mi wprost: teraz musisz nadrobić te wszystkie nieprzepracowane lata. Ciągłe wyznaczał mi najtrudniejsze zadania, nadgodziny, ale gdy przyszło do podziału premii, nigdy nie było mnie na liście. Robił to tak, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że już swoje odebrałem. Nie liczyłem na pobłażliwe traktowanie, ale takiej sytuacji nie mogłem znieść i po dwóch latach odszedłem na rentę. W tej recepcji pracuję od kilku miesięcy. Coraz trudniej było utrzymać rodzinę z jednej renty i dodatku za Krzyż Kawalerski.

Ten krzyż, medale, zwycięskie trofea zdobią teraz mieszkanie. Czasami zabiera je, by pokazać uczniom w szkołach, opowiedzieć, jak je zdobywał. Niechętnie jednak zgadza się na spotkania. Wydaje mu się, że zbyt wiele lat upłynęło od zwycięstw. Jakoś nie czuje już tamtej atmosfery. Jak więc ma mówić o tym z przekonaniem, bez wydumania. Zresztą teraz pracuje na zmiany i niewiele ma wolnego czasu. W hotelu mieszkają różni ludzie, jak to na wielkiej budowie, przeważnie nieustabilizowani. Od wódki nie stronią, a i do zwad są chętni. Właśnie wczoraj wrócił z nocnej zmiany z ciętą raną na głowie. Uderzył go niespodziewanie jakiś pijany chuligan. Zdarza się. Nie tylko w takich sytuacjach — jak się mówi w gwarze sportowej — bywają nieczyste wejścia.

Szkoła na rozdrożu

Wartość wykształcenia

Henryk Galus

Szkoła jest dobrem ogólnospołecznym, oddanym przez społeczeństwo w zawiadywanie organom państwowym, ale ciągle pozostaje w sferze jego zainteresowań ze względu na funkcję, jakie ona pełni w życiu publicznym. To uzasadnia również zajęcie się tym tematem przez Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, które za jeden z celów swego działania uznaje współudział w rozwoju społeczno-gospodarczym i kulturalnym Pomorza. Wypowiadam się w tej sprawie jako sympatyk ZK-P i publicysta, któremu bliskie są wartości humanizmu niezależnego.

W odpowiedzi na pytanie: jaki jest obecnie stan oświaty na Pomorzu?, najczęściej pada jedno słowo — kryzysowy. Stwierdzenie to zresztą jest odnoszone nie tylko do tego regionu, ale w ogóle do sytuacji krajowej.

Konstatacja taka jest jednak tylko pewnym skrótem myślowym, który wymaga uściślenia i ukonkretnienia, a przede wszystkim weryfikacji. Aby zaś do tego dojść, trzeba wyjaśnić samo pojęcie stanu kryzysowego w oświacie, ustalić na czym on polega, w czym się przejawia, jaki jest obecnie jego charakter i jak do niego doszło. Dopiero na tej podstawie można racjonalnie rozważać możliwości jego przezwyciężenia.

Spróbuję to uczynić, zaznaczając od razu, że część tych dociekań z konieczności będzie musiała mieć charakter dość ogólny, ponieważ szkolnictwo pomorskie, jako część krajowego systemu oświatowego, podlega właściwym mu zasadom funkcjonowania. Jednak zachowuje także pewne odrębności, o czym dalej będzie mowa. I jeszcze jedna uwaga wstępna. Otóż pojęcie stanu aktualnego w oświacie musi być rozumiane trochę szerzej w sensie ram czasowych, gdyż zjawiska w sferze oświaty, a zwłaszcza wychowania, w pełni przejawiają się dopiero w dłuższych okresach. Dlatego rozważania te często będą wykaczać poza obręb kilku ostatnich lat.

Istotę stanu kryzysowego szkolnictwa można ująć w dwóch punktach.

Primo. Mamy z nim do czynienia wówczas, gdy absolwenci szkół w sferze aktywności zawodowej nie wywierają większego wpływu na rozwój gospodarczy kraju i regionu, a wynoszone przez nich ze szkół wykształcenie ogólne i kwalifikacje zawodowe są cenione nisko i tracą na wartości. Skutkiem tego ludzie wykształceni i kwalifikowani profesjonalnie nie doświadczają zależności między tymi walorami a powodzeniem materialnym i życiowym.

Secundo. Wyrazem kryzysowego stanu oświaty jest również sytuacja, w której absolwenci szkół wkraczają w życie niedostatecznie przygotowani do samodzielnego i racjonalnego wyboru wartości społecznych, moralnych i kulturowych, ważnych zarówno dla jednostki, jak też narodu, społeczeństwa i państwa, co stało się powodem zagrożenia wielu z tych wartości w życiu publicznym.

Rozpatrzmy każdy z tych niezwykle istotnych problemów, z których jeden dotyczy kształcenia, a drugi wychowania, ale obydwa oczywiście ściśle wiążą się z sobą.

Słaby wpływ absolwentów szkół na rozwój gospodarczy oraz niska wartość wykształcenia ogólnego i zawodowego może mieć swoje źródło w samym systemie oświatowym, który jest wyodrębnioną i do pewnego stopnia autonomiczną częścią życia publicznego.

Wówczas jedna z przyczyn tego stanu rzeczy może tkwić w nieadekwatnej do potrzeb strukturze szkolnictwa, zarówno w układzie funkcjonalnym (rodzaje, typy i stopnie szkół), jak i przestrzennym (rozmięszczenie szkół). Skutkiem tego dostęp dzieci i mło-

dzieży do różnych szkół, a zwłaszcza selekcja kandydatów do szkół niedostępnych powszechnie (u nas są to licea ogólnokształcące i średnie szkoły zawodowe oraz uczelnie wyższe), jak również kariery edukacyjne nie zawsze opierają się na kryteriach uzdolnień i pracy, lecz innych mechanizmach, które gubią nawet talenty.

Kolejna przyczyna to niewłaściwe koncepcje programów nauczania, a w ślad za tym podręczników i różnych środków dydaktycznych. W grę tu wchodzić może zarówno przestarzałość przekazywanej wiedzy i jej nieadekwatność do potrzeb zawodowych i życiowych absolwentów, jak też mała efektywność stosowanych metod kształcenia.

Następna przyczyna to niezadowalający stan kwalifikacji nauczycieli, będący wynikiem niewłaściwego sposobu ich przygotowania do zawodu i doboru bądź nie dość atrakcyjnej motywacji moralnej i intelektualnej oraz gratyfikacji materialnej.

Dalszej przyczyny można upatrywać w kiepskim stanie bazy lokalowej i wyposażenia szkół w środki techniczne do nauki, co jest powodowane niedostatkami nakładów, jak również nieefektywnym gospodarowaniem nimi.

Jednakże przyczyn niedostatecznego wpływu absolwentów szkół na rozwój gospodarczy kraju i regionu oraz niskiej wartości wykształcenia ogólnego i zawodowego należy poszukiwać również poza systemem szkolnym, a więc w innych dziedzinach życia publicznego, od których jest on uzależniony bezpośrednio lub pośrednio.

Na pierwszym miejscu trzeba tu wymienić stosunkowo niskie nakłady finansowe na oświatę z budżetu państwowego, co powoduje, że jest ona w stanie permanentnego niedostatku, a nawet nierazko ubustwa. Rozmiary nakładów na szkolnictwo w pewnej mierze są najbardziej wiarygodnym wyrazem polityki oświatowej państwa. Nie podejmując tutaj analizy tego problemu od strony statystyki, ograniczę się tylko do ogólnego stwierdzenia, że nakłady na szkolnictwo na ogół miały tendencję rosnącą w całym okresie powojennym. Jednakże przyrost ten był dość zróżnicowany i najczęściej niewspółmierny do rzeczywistych potrzeb. Można odnieść wrażenie, że w niektórych okresach, jak również obecnie, szkolnictwo nie jest traktowane serio jak czynnik rozwoju gospodarczego, lecz jak jeszcze jedna dziedzina funkcji opiekuńczej państwa.

Na drugim miejscu trzeba wskazać istnienie w systemie gospodarczym mechanizmów ograniczających efektywne wykorzystanie wykształcenia ogólnego i zawodowego absolwentów szkół, a nawet deprecjujących wartość wykształcenia i kwalifikacji. Dzieje się tak w wyniku doboru na stanowiska z nieprzestrzeganiem kryterium fachowości, a przede wszystkim stosowania polityki płacowej nie premiującej wykształcenia i kwalifikacji, a więc pracy bardziej kwalifikowanej.

Podobny rezultat jest też skutkiem przewagi podaży niektórych rodzajów sił kwalifikowanych nad popytem na nie. W warunkach jednak synchronizowania struktur kształcenia z zapotrzebowaniem kadrowym gospodarki nie powinno tu być zbyt dużego rozwarcia, chyba że planowanie ma zgola iluzoryczny charakter.

Czas rozważyć teraz, które z tych czynników i w jakim stopniu rzutują na obecny stan oświaty w połowie lat 80-tych w Polsce i na Pomorzu.

Właściwie można powiedzieć, że wszystkie wskazane czynniki, chociaż w zróżnicowanym stopniu, wywierają wpływ na dzisiejszy, w znacznej mierze kryzysowy stan oświaty. A więc zarówno czynniki tkwią-

ce w samym systemie oświatowym, jak i poza nim.

Jak wiadomo, z przygotowanej w latach 70-tych i częściowo już rozpoczętej reformy strukturalnej szkolnictwa polskiego zrezygnowano na początku 1982 r., zawieszając jej wprowadzenie na czas nieokreślony w związku z kryzysem gospodarczym i społeczno-politycznym. Reforma ta, choć kontrowersyjna, ale w latach 1980—1981 dość korzystnie skorygowana pod względem programowym, wiodła w kierunku, w którym poszły wszystkie kraje wysoko rozwinięte, a więc w kierunku podniesienia standardu wykształcenia powszechnego do średniej szkoły ogólnokształcącej i oparcia na nim wszelkich form kształcenia zawodowego na poziomie podstawowym, średnim i wyższym. Zawieszenie reformy oznacza odsunięcie w czasie przedsięwzięcia koniecznego, bez którego szkolnictwo nie stanie się czynnikiem dynamizującym gospodarkę.

Reformę strukturalną szkolnictwa ma jakoby częściowo zastąpić zmiana programów nauczania szkół, która obecnie obejmuje licea ogólnokształcące oraz zasadnicze i średnie szkoły zawodowe. W praktyce jednak nie można się w tym dopatrzeć jakichś większych udoskonaleń funkcji edukacyjnej tych szkół, lecz — jak dotąd — raczej eliminacji tych korekt w programach nauczania, które zostały wprowadzone głównie w przedmiotach humanistyczno-społecznych pod wpływem środowiska nauczycielskiego i naukowego oraz opinii publicznej w latach 1980—1981.

Wraz z rezygnacją z reformy strukturalnej szkolnictwa odstąpiono od egzekwowania, wprowadzonego w połowie lat 70-tych, wymogu posiadania przez wszystkich nauczycieli wykształcenia wyższego względnie uzupełnienia go w drodze studiów zaocznych. Co więcej, wobec niedostatku nauczycieli i absolwentów uczelni wyższych chętnych do podjęcia pracy w tym zawodzie, zaczęto zatrudniać w charakterze nauczycieli absolwentów liceów ogólnokształcących i średnich szkół zawodowych bezpośrednio po maturze. Ich odsetek wśród nauczycieli szkół podstawowych dochodzi obecnie do 10 proc. Jest on mniejszy w miastach i znacznie większy na wsi. W niektórych gminach odsetek ten sięga nawet 20—30 proc. Przeciętnie około 55 proc. nauczycieli szkół podstawowych ma wykształcenie wyższe, 25 proc. ukończyło dawne SN, 10 proc. ukończyło dawne licea pedagogiczne, a 10 proc. to właśnie absolwenci LO lub też techników i liceów zawodowych.

Istnienie i powiększanie się grupy niewykwalifikowanych nauczycieli szkół podstawowych stanowi nader bolesny punkt obecnego stanu szkolnictwa. Jest to bowiem cofnięcie się do sytuacji z pierwszych lat powojennych. Należy tu przypomnieć, że w województwie gdańskim w pierwszym powojennym roku szkolnym 1945—1946 było 26 proc. nauczycieli szkół powszechnych bez kwalifikacji zawodowych. Wówczas podjęto jednak dość energiczne środki zaradcze. W 1945 r. otwarto trzy licea pedagogiczne (we Wrzeszczu, Tczewie i Kwidzynie), dwa w 1946 r. (w Kościerzynie i Wejherowie), jedno w 1947 r. (w Lęborku), a w 1953 r. trzy dalsze (z czego jedno w Gdyni, a dwa nawet we wsiach — w Żukowie i Starym Targu).

Teraz, nawet gdyby udało się dość szybko powstrzymać wzrost liczby nauczycieli szkół podstawowych bez kwalifikacji, to i tak odrobienie tej luki kadrowej będzie wymagać wiele czasu. Skutki zaś obniżenia poziomu nauczania części dzieci z kilku roczników mogą być nie do wyrównania i będą się pojawiać jeszcze po wielu latach. Trzeba bowiem wziąć pod uwagę fakt, że niewykwalifikowani młodzi nauczyciele najczęściej są kierowani do nauczania początkowego w klasach najmłodszych, które wymaga bardziej specjalistycznego przygotowania metodycznego i pedagogicznego niż nauczanie w starszych klasach szkoły podstawowej. Chodzi zatem o fundament edukacji dziecka, który, gdy źle jest wykonany, nie może później udźwignąć dalszych obciążeń nauki szkolnej.

Zachodzi jednak obawa, że podjęte obecnie środki zaradcze nie będą w stanie zahamować przyrostu sił niewykwalifikowanych czy nisko kwalifikowanych w

zawodzie nauczycielskim. Jednym z tych środków jest otwarcie od września 1982 r. w Studiach Wychowania Przedszkolnego, które w połowie 1984 r. otrzymały nazwę Studiów Nauczycielskich, obok kierunku wychowania przedszkolnego także nauczania początkowego. Ten nowy rodzaj SN powstał w Gdańsku i Gdyni oraz w miastach innych województw wschodniopomorskich.

Nie jest to rozwiązanie najgorsze, na pewno lepsze od dawnych liceów pedagogicznych. Nowe SN na kierunek nauczania początkowego przyjmują bowiem maturzystów, a zwłaszcza liceów ogólnokształcących i artystycznych, którzy w toku dwuletniej nauki uzyskują teoretyczne i praktyczne przygotowanie pedagogiczne i metodyczne do nauczania początkowego w klasach I—III. Jednakże na razie dzieje się to kosztem ograniczenia kształcenia w SN nauczycieli dla przedszkoli, których program zawiera pewne elementy nauczania początkowego.

Dopiero od jesieni 1984 r. w SN stworzono możliwość zaocznej nauki dla maturzystów od kilku lat zatrudnianych w charakterze niewykwalifikowanych nauczycieli. Ich dokończenie potrwa jeszcze dłuższy czas.

Natomiast dotąd nie podjęto dostatecznie skutecznych środków w celu zapobieżenia odpływowi z zawodu nauczycielskiego osób o wysokich kwalifikacjach oraz zachęcenia absolwentów uczelni wyższych do podejmowania pracy w szkolnictwie, od czego oni z różnych względów stronią. Przyjęta w Karcie Nauczyciela z 1982 r. zasada podnoszenia płac nauczycieli do poziomu przeciętnych zarobków kadry inżynierino-technicznej w przemyśle okazała się iluzoryczna, zwłaszcza w warunkach kryzysu gospodarczego. Poprawa warunków mieszkaniowych nauczycieli nie nastąpiła, a nawet uległy one pogorszeniu. Natomiast doszła uciążliwa atmosfera w szkołach, wywołana warunkami i przepisami stanu wojennego i wprowadzonymi na tzw. okres przewycięzania kryzysu społeczno-ekonomicznego. Odpycha ona od szkoły zarówno młodych kandydatów i adeptów zawodu nauczycielskiego, jak też wielu doświadczonych nauczycieli, zaangażowanych w sprawy wychowania młodzieży i twórczo pojmujących swoją rolę w tym procesie, którzy obecnie nie znajdują możliwości przejawiania tej roli.

Brak nauczycieli dotknął przede wszystkim szkoły podstawowe, które na dodatek od początku lat 80-tych zaczęły przyjmować trochę liczniejsze roczniki dzieci niż w latach 70-tych, co i tym razem — iak to już nieraz bywało — zaskoczyło administrację oświatową i pogłębiło deficyt nauczycieli.

Jednakże nie jest to jedyna przyczyna tego, że szkoły podstawowe pozostają obecnie najsłabszym ogniwem systemu oświatowego, tak na Pomorzu, jak i w kraju. Przyczyniło się do tego również niepowodzenie przedsięwzięcia w zakresie upowszechnienia i podniesienia poziomu wychowania przedszkolnego dzieci. W województwie gdańskim w latach 1976—1983 liczba dzieci w placówkach wychowania przedszkolnego wprawdzie wzrosła z 37,2 tys. do 46,6 tys., ale oznaczało to wzrost zaledwie o 1,3 proc. dzieci objętych wychowaniem przedszkolnym. W skali województwa w 1983 r. ich odsetek wynosił 46 proc., w miastach prawie 51 proc., a na wsi niespełna 34 proc.

Szczególną dolegliwością szkół podstawowych, zwłaszcza w obliczu kolejnego wyżu demograficznego, jest chroniczne niedoinwestowanie ich sieci w miastach, głównie w nowych osiedlach, a zwłaszcza we wsiach, gdzie krytyczny stan został powiększony z powodu niewłaściwego gospodarowania środkami, w związku z brakiem racjonalnej, perspektywicznej koncepcji rozmieszczenia szkół na wsi.

Najbardziej racjonalną wydaje się sieć szkolna skoncentrowana w umiarkowanym stopniu, a więc składająca się z większych szkół dla dzieci starszych we wsiach gminnych i dużych sołectwach o dogodnych połączeniach komunikacyjnych oraz ze szkół małych z klasami nauczania początkowego, rozmieszczonych w dużej liczbie wsi i położonych w bliskim sąsiedztwie

twie przedszkoli lub nawet zespolonych z nimi. W każdym bądź razie bez racjonalnej koncepcji sieci szkolnej nie można realizować inwestycji ze środków państwowych czy społecznych, oczywiście prócz przypadków lokalizacji nie budzących wątpliwości. Postulat ten trzeba wyraźnie sformułować w związku z ponownie lansowaną akcją budowy szkół ze środków społecznych, aby znów nie zostały one zużytkowane w sposób nieracjonalny, jak to miało miejsce z częścią akcji milenijnej w latach 60-tych.

W o wiele korzystniejszej sytuacji niż szkoły podstawowe znajdują się zarówno licea ogólnokształcące, jak też zasadnicze, średnie i policealne szkoły zawodowe. Dotyczy to przede wszystkim stanu kadry nauczycielskiej, która prawie w całości legitymuje się wykształceniem wyższym (z wyjątkiem grupy tzw. instruktorów praktycznej nauki zawodu w ZSZ, którzy z reguły mają wykształcenie średnie i brakuje im ponadto przygotowania pedagogicznego). W tych rodzajach szkół na ogół lepszy jest również stan obiektów szkolnych i ich wyposażenia, aczkolwiek i tutaj standard nie jest zadowalający. Ta opinia o względnie korzystniejszym stanie tych rodzajów szkół dotyczy również ich rozmieszczenia, chociaż nie jest ono pozbawione mankamentów.

Słabą stroną sieci liceów ogólnokształcących jest ich zbytne oddalenie od mniejszych miast i wsi, w porównaniu zwłaszcza ze szkołami zawodowymi, które w tę strefę wkroczyły głębiej. Zwracałem już uwagę w artykule „Pomeranii” z marca 1985 r. na fakt, że region pomorsko-kaszubski, jako jeden z nielicznych w kraju, nie ma ani jednego liceum ogólnokształcącego na wsi, podczas gdy w kraju jest takich przypadków ponad 50. Powtórzę więc pytanie: dlaczego nie miałyby istnieć liceum ogólnokształcące na przykład w Żukowie czy Sierakowicach, w Brusach albo Karsinie? Zwłaszcza, gdy odwieka się sprawa wprowadzenia 10-cio czy 11-letniej szkoły powszechnej ogólnokształcącej.

O stosunkowo dobrze rozwiniętym stanie szkolnictwa zawodowego w regionie wschodniopomorskim świadczy fakt, że zapewnia ono miejscowej młodzieży możliwości kształcenia zawodowego w nader różnorodnych zawodach i specjalnościach, a jednocześnie zaspokaja prawie wszystkie potrzeby kadrowe tego regionu. Nie ma tu zagrożenia powodowanego oświatową monokulturą, jaką dla Śląska jest szkolnictwo górnicze i hutnicze, którego dominacja nie pozostawia tamtejszej młodzieży szerszego marginesu innych możliwości.

Szkolnictwo zawodowe w zbyt małym stopniu wpływa na rozwój gospodarczy, głównie ze względu na swą anachroniczną strukturę. Dlatego tak istotne jest, czy powszechne kształcenie zawodowe nadal będzie się opierać tylko na podbudowie często niepełnowartościowej 8-letniej szkoły podstawowej, czy też to minimum zostanie podniesione do poziomu średniej szkoły ogólnokształcącej jako punktu wyjścia do efektywnego kształcenia zawodowego, krótkiego na poziomie podstawowym, a odpowiednio dłuższego na poziomie średnim i wyższym.

Nie mniej dotkliwe od skutków anachronicznej struktury szkolnictwa zawodowego są istniejące w systemie gospodarczym mechanizmy ograniczające efektywne zużytkowanie wykształcenia ogólnego i kwalifikacji zawodowych absolwentów szkół, a nawet deprecjonujących wartość wykształcenia i kwalifikacji. Mechanizmy te bowiem nie tylko deformują selekcję do szkół wedle uzdolnień i obniżają aspiracje oświatowe młodzieży, ale również powodują ogromne marnotrawstwo kwalifikacji.

W interesie ogólnospołecznym leży, aby system pobudzania aspiracji edukacyjnych młodzieży i jej selekcji do szkół poszczególnych rodzajów optymalnie sprzyjał rozwojowi i wykorzystaniu uzdolnień wszystkich młodych ludzi. Tymczasem najkorzystniejsze warunki materialne stwarza się nie kształcącym się w wyższych uczelniach, liceach ogólnokształcących i średnich szkołach zawodowych, lecz w zasadniczych zawodowych. Skutkiem tego znaczna część młodzieży uzdolnionej, ale gorzej sytuowanej lub bardziej wrażliwej na bodźce materialne i presję

najbliższego otoczenia, kieruje się do zasadniczych szkół zawodowych i poprzestaje na tym najniższym pulapie wykształcenia profesjonalnego. Podtrzymuje ją w tym stanie system placowy w gospodarce, który lepiej wynagradza pracę prostą, ciężką i nisko kwalifikowaną, niż pracę złożoną, średnio i wysoko kwalifikowaną, nasyconą myślą. Można odnieść wrażenie, że obecnie polityka ta nosi znamiona antagonizowania wpływowych grup społecznych, których współdziałanie jest nie na rękę manipulatorom życia publicznego.

To niefortunne zróżnicowanie, ciągnące gospodarkę wstecz, ostatnio jest uzasadniane jakoby działaniem praw rynku w tej sferze, a więc prawa podaży i popytu różnych rodzajów pracy i kwalifikacji zawodowych. Rozumuje się następująco: skoro na rynku pracy jest dosyć lub nawet nadmiar sił średnio i wysoko kwalifikowanych, a za mało sił nisko lub wcale niekwalifikowanych, na które jednak istnieje zapotrzebowanie gospodarki, to należy lepiej opłacać te drugie. Rzecznik rządu w wypowiedzi telewizyjnej niedawno posunął się do stwierdzenia, że jeśli jest dosyć lekarzy, a za mało salowych, to może dojść do tego, że trzeba będzie więcej płacić salowym niż lekarzom.

Z pola widzenia tego pozornie logicznego wyводу o podaży i popycie kwalifikacji umyka jednak możliwość, czy nawet konieczność zmiany struktury gospodarki idącej w kierunku ograniczania tej części, która jest oparta na pracy mało kwalifikowanej, a rozszerzania gospodarki opartej na pracy bardziej kwalifikowanej, zwłaszcza gdy są już większe i nie wykorzystane zasoby tej pracy. Charakterystycznym przykładem stosunku organizatorów życia gospodarczego do tego rodzaju spraw jest reakcja na występujące w ostatnich latach zjawisko tzw. odpływu kadr kwalifikowanych z gospodarki uspołecznionej do prywatnej, przy tym często do pracy o niższym poziomie wymaganych kwalifikacji.

Przedsiębiorca i organizator życia gospodarczego z prawdziwego zdarzenia przede wszystkim pomyślałby o lepszym zużytkowaniu będących w jego dyspozycji sił kwalifikowanych, organizując dla odchodzących inżynierów, techników i ekonomistów taki warsztat pracy, w którym ich kwalifikacje przynosiłyby większe dochody gospodarce a im wynagrodzenia, niż fachowcy ci są w stanie osiągnąć, stojąc za sklepową ladą czy siedząc w warsztacie rzemieślniczym. Tymczasem w organach administracji rodzą się zgoła innego rodzaju pomysły, typowo biurokratyczne projekty działań. Pojawili się mianowicie pomysły ściągania kosztów wykształcenia od tych absolwentów szkół, którzy zbyt krótko pracowali w gospodarce uspołecznionej.

Tak więc nieodzownym warunkiem zwiększenia roli szkolnictwa w rozwoju gospodarczym jest wyrugowanie z życia publicznego mechanizmów deprecjonujących wartość wykształcenia i kwalifikacji. Bez tego trudno będzie udoskonalać również samo szkolnictwo. Moim zdaniem jest to najważniejszy punkt niezbędnego dziś krajowi programu pracy organicznej.

Nie podejmuję szerszej w tym referacie zagadnień wychowania w szkole, które wymagałyby obszerniejszego omówienia i może odrębnego forum, jakie należałoby stworzyć. Sądzę, że celowe byłoby zorganizowanie w niedługim czasie dyskusji na ten temat z udziałem skupionych w ZK-P i wokół niego nauczycieli, naukowców, twórców oraz działaczy oświatowych i kulturalnych. Tutaj ograniczę się tylko do kilku uwag w tej niezwykle istotnej kwestii.

Trwający w kraju konflikt społeczny postawił szkołę w centrum zainteresowania instytucji i organizacji politycznych. Powstałe napięcia sprzyjają — jak już pisałem — posługiwaniu się uproszczonym pojmowaniem wychowania, które w skrajnych przypadkach jest utożsamiane z propagandą i skłaniania do narzucania mu metod jej właściwych. Brak doraźnych efektów powoduje kontrole, naciski, akcje rozmów indywidualnych, weryfikacje kadrowe, wprowadzanie i egzekwowanie obostrzonych przepisów, arbitralne zmiany programowe, co w sumie ogranicza rolę nauczycieli w wychowaniu szkolnym, a także

wpływ rodziców na tę sferę pracy szkoły, zaś młodzieży przysparza rozterek moralnych, z którymi pozostaje sama.

W filmie Andrzeja Wajdy „Danton” jest następujący epizod: — Wszyscy ludzie rodzą się wolni i równi pod względem swej godności i swych praw ... — deklamuje chłopiec „Deklarację Praw Człowieka i Obywatela” i przy każdej pomyśle otrzymuje uderzenie w twarz od swojej matki, która kąpiąc go w balii jednocześnie uczy na pamięć jak pacierza tekstu tego dokumentu programowego rewolucji francuskiej, aby potem jej syn mógł się tym popisać przed Robespierrem.

Ta znakomita scena doskonale wyraża istotę zjawiska przetrwania się szczytnych ideałów w swoje przeciwieństwo także w sferze wychowania. Jest też sugestywną ilustracją uniwersalnego problemu przekazywania wartości z pokolenia na pokolenie i od jednej grupy społecznej do drugiej oraz antyhumanistycznych niebezpieczeństw powstających na tej płaszczyźnie.

Tę scenę filmową można również potraktować jako motto do rozważań na temat humanizmu wychowania w sytuacji obecnej oraz zagrożeń w tej subtelnej

dziedzinie życia, która stanowi rodzaj pomostu między pokoleniami i grupami społecznymi.

Ze swoich obserwacji odnoszę wrażenie, że znaczna część nauczycieli, zwłaszcza szkół średnich, w porę dostrzegła całą złożoność i dramatyzm wychowania w szkole w dzisiejszych warunkach oraz trudność w przygotowaniu młodych ludzi do samodzielnego i racjonalnego wyboru wartości społecznych, moralnych i kulturowych, ważnych dla nich osobiście i dla społeczeństwa. Nić porozumienia, jaka spontanicznie powstała pomiędzy tą częścią nauczycieli a młodzieżą i jej rodzicami, to niezwykle cenny rodzaj doświadczeń, który niewątpliwie wyda dobre owoce. ■

Tym tekstem, który stanowi skróconą wersję referatu wygłoszonego przez red. H. Galusa na zebraniu ZG ZK-P w dniu 11 maja 1985 roku, kończymy publikację materiałów redakcyjnych w ramach cyklu „Szkoła na rozdrożu”. Osoby pragnące jeszcze zabrać głos na poruszone tematy mogą to uczynić. Dla interesujących wypowiedzi łamy „Pomeranii” są otwarte. Do spraw oświaty będziemy w naszym piśmie powracać na bieżąco. (Red.)

Nasi laureaci Z długiej chwili

— Informując o przyznaniu panu przez naszą redakcję wyróżnienia „Skra Ormuzdowa” podaliśmy, że „Julian Zaborowski ma 92 lata”. Zdaje się, że przesadziliśmy?

— Urodziłem się w 1899, to wychodzi ile? Ale i tak jestem tu w Lipuszu najstarszy. Z mężczyzn, bo z kobietami się nie równam, one są zawsze od nas młodsze.

— Jest natomiast prawdą, że późno, dopiero w 85 roku życia, przystąpił pan do pisania wspomnień, których fragmenty drukowaliśmy i za które otrzymał pan wyróżnienie?

— Zacząłem je spisywać w zeszłym roku, to było latem.

— Ktoś pana namówił?

— Nie, bez namowy, z długiej chwili. Przedtem nie miałem czasu, miałem inne zajęcia. Choroba nie pozwoliła mi nic robić, nawet w ogrodzie. Siedziałem w domu, patrzyłem przez okno. Mało kto do mnie zajrzał, w domu sami młodzi, dla młodych stary jest tylko zawadą. Patrzyłem przez okno i rozważałem moje życie.

— I pewnego dnia postanowił pan je opisać?

— Czytałem od dawna „Pomeranię”, widziałem w niej różne wspominki i tak sobie nieraz myślałem, że może i ja bym spróbował. Jak zacząłem pisać, to ołówki nie mógł nadążyć za myślami, które przychodziły.

— Rozpoczynając wspomnienia zastrzegł się pan, że są kreślone „niewprawną w pisaniu ręką”...

— Nie uczyłem się pisać po polsku. Ja chodziłem do szkoły niemieckiej, a nie polskiej. Religia była uczona w tym czasie w szkole też po niemiecku. Tylko naukę przygotowującą do pierwszej komunii ksiądz prowadził po polsku. Odbывała się w kościele. Posadzono nas według alfabetu, tak że ja siedziałem aż pod chórem. Kościół lipuski jest duży, z tyłu słabo było słychać, wikary pytał tylko tych na przodku, więc za dużo się nie nauczyłem. A mówić... Kto tu wpierw mówił po polsku? Ksiądz z ambony. A tak wszyscy po kaszubsku. Ale pisać po kaszubsku nikt nie umiał, pisać uczyłem się tylko po niemiecku.

— Dużo pan pewnie później czytał?

— Bibliotekę lipuską mam chyba przeczytaną całą. Te kaszubskie książki, które tu są — też. Z po-

czątku mi nie szło, ale teraz nie robi różnicy, „przeżstudiowałem” je wszystkie. Przed wojną chleba nieraz nie było, ale gazeta musiała u mnie być.

— Coś pan próbował wcześniej pisać?

— Listy, podania do urzędów. Raz nawet pisałem do prezydenta, to było po wojnie...

— Do Bieruta?

— Nie, do Mościckiego. Za cesarza Wilhelma kto miał tyle dzieci co on, dostawał 100 marek. To były duże pieniądze. Trzeba było mieć sześć synów i jedną córkę. Tak się złożyło, że ja miałem, ale już za Polski. Napisałem do Mościckiego: Wilhelm dawał, czy i on nie daje? Odpisał mi, że nie, ale przysłał piękne podziękowanie. Ja tego prezydenta później widziałem. Mieszkałem w Łubianie, w pobliżu, w Garcynie był obóz skautów. I on ten obóz odwiedził. Pamiętam, że siedem czarnych limuzyn zajęło nad jeziorem.

— Dużo pan widział, przeżył...

— My wszyscy urodzeni jeszcze w tamtym wieku dużo mamy za sobą. Przeżyliśmy trzy wojny, z tego dwie wielkie, cesarzy, prezydentów i sekretarzy. W czasie pierwszej wojny przeszedłem pół Europy. Później też wędrowałem. Miałem być następcą na gospodarstwie rodziców i jak to wtedy było w zwyczajach wyszukali mi brutkę, marzeczoną, ja z tym zerwałem i popadłem w nielaskę, rodzice nie zapisali mi gospodarstwa i musiałem chleba szukać gdzie indziej. Przez to widziałem i poznałem więcej niż gdybym siedział na miejscu. Po ostatniej wojnie poszedłem na ziemie zachodnie, na „dziłki zachód” i dopiero tam osiedliłem się w jednym miejscu na długiej — w Krosnowie za Bytowie.

— Wrócił pan jednak do Lipusza?

— Byłem tam dwadzieścia lat, ale nie chciałem być pochowany tam, tylko w Lipuszu, gdzie leży moja rodzina, przodkowie. W 1966 roku zdałem gospodarstwo państwu. Mogłem je sprzedać, kupców nie brakowało, bo było w dobrym stanie, ja dobrze gospodarzyłem, ja miałem dyplomów dużo i dużo. Ale mnie odradzili sprzedać, oddałem za rentę — niską wtedy, dostałem 685 zł, ale pewniejszą, pieniądze ze sprzedaży szybko by się rozeszły i co dalej? Tu, w Lipuszu mieszkaliśmy najpierw u córki, na wybudowaniu, żonie było za daleko do kościoła. A że ja po barach nigdy nie chodziłem, mieliśmy oszczędności i kupiliśmy domek. Zona bała się starości i wzięła wnuczkę, zamężną. Po śmierci żony zapisałem im dom za opiekę. Nie chcę dużo mówić, ale źle przeżyłem ostatnie lata...

— Jak przyjęto wspomnienia drukowane w „Pomeranii” w pana otoczeniu?

— Czytało dużo ludzi, nawet mi o tym powiadali, chociaż na ulicy mało kto chce ze mną gadać, bo ja źle słyszę i trzeba do mnie głośno mówić, a jak ktoś ma dobry słuch to nie lubi głośno gadać. Fry-

zjer, do którego chodzę z włosami, pytał mnie co te przerywania znaczą, te kreski i paragrafy. Musiałem mu wytłumaczyć, bo nie wiedział.

— *Zaletą pana wspomnień jest to, że są „kreślone z całą otwartością”, jak zaznacza komunikat o przyznawaniu wyróżnienia. Nie wszystko można wydrukować, ale ważne, że taki zapis powstał. Będzie pan pisał dalej?*

— Powiedziałem sobie, że na tym koniec. Zapisalem 12 zeszytów i starczy. Byłem potem chory, myślałem, że umrę i spaliłem wszystko co miałem w szufladach: listy, papiery różne, zdjęcia, żeby jak najmniej po mnie zostało, tylko te wspomnienia. Wyzdrowiałem,

ale już nie chciało mi się pisać. Pewnego dnia rano, a było to 1 maja, patrzę przez okno — całe pole białe i gąk białe. Co to? Czy ja dobrze widzę? I przypomniałem sobie, że przed wojną gdy przeprowadzałem się z Łubiany do Fingerowej Huty leżał taki śnieg, że gospodarz, u którego miałem pracować, przysyłał sanie. A było to 13 maja. A znowu, gdy byłem na ziemiach zachodnich, to w maju spadł taki śnieg, że sięgał do kolan. Wszystko to mi się przypominało, gdy patrzyłem przez okno. Usiadłem do stołu, wziąłem zeszyt, ołówek...

Rozmawiał Edmund Szczesiak

22 czerwca członkowie kolegium i zespołu redakcyjnego „Pomeranii” przyznali Ryszardowi Landowskiemu z Kościerzyny doroczną nagrodę dla początkującego twórcy literatury kaszubskiej w wysokości 6500 zł ufundowaną przez Romana Wróblewskiego z Warszawy. Nagroda wręczona zostanie podczas tegorocznego Seminarium Kaszëbsczego, które odbędzie się jesienią w Łączyńskiej Hucie.

Pięć dziur w jednej dziurze

— *Urodził się pan w 1937 roku w Kornem pod Kościerzyną. W czasie ostatniej wojny ukrywał się tam pisarz kaszubski Franciszek Sędzicki i wychowywał — też podczas okupacji — publicysta Tadeusz Bolduan. Chciałoby się powiedzieć, że ta mała wieś ma szczęście do ludzi pióra.*

— Z Franciszkiem Sędzickim nie spotkałem się, natomiast pamiętam, że z Bolduanem bawiliśmy się właśnie w wojnę. Miałem wtedy sześć lat. Potem ojca Niemcy wywieźli do Stutthofu za działalność w „Gryfie Pomorskim”, a my, dzieci, wraz z matką znaleźliśmy się w lagrze w Potulicach. Wróciliśmy pod koniec 1944 roku, a później ojciec, któremu udało się przetrwać „marsz śmierci”.

— *A gospodarstwo w czasie waszej nieobecności...*

— Nie mieliśmy w Kornem ziemi. Mieszkaliśmy u wójta Lassa, a ojciec przed wojną zajmował się handlem. Latem skupował grzyby i jagody dla włoskiej firmy w Brusach, a zimą skóry zwierzęce. Po wojnie osiedliliśmy się w Owśnicach nad Jeziorem Długim. Ojciec otrzymał gospodarstwo po parcelacji, które — pamiętam — musiał spłacać zbożem. Już nie wiem, ile to było kwintali... Jako najmłodszy syn miałem zostać spadkobiercą tego gospodarstwa, ale ja wolałem się uczyć. Przywiązałem konia z plugiem do drzewa i pojechałem na egzaminy wstępne do Liceum Pedagogicznego w Kościerzynie.

— *Rodzice mieli do pana żal?*

— Gdy wróciłem po południu i oznajmiłem, że zdałem, wszystko się jakoś rozeszło po kościach.

— *A co z gospodarstwem?*

— W 1952 ojciec zdał tę ziemię. Pobudował dom przy szosie chojnickiej i zaczął pracować w Kościerzynie. Został kierownikiem zbiornicy geosowskiej, która skupowała makulaturę, skóry, wełnę i temu podobne. Wrócił do dawnego zawodu.

— *Z rodzeństwa też nikt nie chciał zostać na gospodarstwie?*

— Nie. Tylko ja zostałem tu, na Kaszubach. Najstarszy, Zygmunt, wyuczył się za nauczyciela, nieżyjący już Henryk był kierownikiem w przedsiębiorstwie melioracyjnym, Mieczysław uczy w VI Liceum Ogólnokształcącym w Poznaniu, Adela, która urodziła się po mnie, jej inżynierem „od pieców” w Hucie Warszawa, a najmłodsza, Hildegarda, była księgową w Pruszczu Gdańskim, a potem wyszła za Niemca i wyjechała do RFN-u.

— *Pan ukończył liceum pedagogiczne i też został nauczycielem.*

— Zaraz po szkole nie. Przez rok uczyłem się w Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie. Byłem młody, pociągalo mnie wojsko. Egzaminy do akademii były gęstym sitem. Najpierw w Kościerzynie mieliśmy egzamin z historii. Spytano mnie: co wiem o Spartakusie? Odpowiedziałem pytaniem: czy mam mówić o słynnym gladiatorze czy o komunistycznej grupie, która działała w 1918 roku w Berlinie? I to wystarczyło. Potem w Gdańsku były egza-

miny z chemii, fizyki i matematyki, a wreszcie w Warszawie, które trwały dziesięć dni. Prawdopodobnie w eliminacjach uczestniczyło 10 tysięcy kandydatów, a przyjęto 92.

— *I pan był wśród tych szczęśliwców?*

— Po wypadkach czerwcowych w 1956 w Poznaniu zrezygnowałem. Zrozumiałem, że to nie dla mnie.

— *A co było dla pana?*

— Z Warszawy pojechałem bezpośrednio do Słupska, bo mówiono, że tam najłatwiej o pracę. Skierowano mnie do Domaradza, gdzie właściwie byłem pionierem, pierwszym polskim nauczycielem.

— *W 1956?*

— Tak. Kierownik pegeeru, kierownik warsztatów, kowal, magazynier i księgowy, to byli Polacy, a resztę stanowili Niemcy. Oczywiście wszystko zmieniło się po ostatniej akcji przesiedleńczej w 1958. W Domaradzu była szkoła z niemieckim językiem nauczania i ja, z polecenia inspektora oświaty, też musiałem do 1958 roku prowadzić lekcje w tym języku.

— *Znał pan niemiecki?*

— Trochę. Tyle co każdy Kaszuba w tamtych latach. W Wojewie — też w województwie słupskim — uczyłem już wyłącznie po polsku.

— *Potem był pan nauczycielem w szkołach na Kaszubach.*

— Nie. Po Domaradzu i Wojewie nie pracowałem w szkolnictwie. Miałem się różnych zawodów. Byłem magazynierem w pegeerze, pracowałem w kopalni.

— *Z powodu niskiego zarobku?*

— Niezupełnie. Byłem młody i jeszcze samotny. Chciałem poznać trochę świata. Potem wróciłem do nauczycielstwa i pracowałem w Starym Barkocynie, Kornem, Będominie, Gostomku i Kościerzynie.

— *Był pan przez 20 lat nauczycielem matematyki — jak mogliśmy się dowiedzieć z „Pomeranii” nr 12 z 1984 roku — a w 1983 zaczął pan pracować w Kaszubskim Parku Etnograficznym we Wdzydzach jako przewodnik.*

— O tym, dlaczego przestałem pracować w szkolnictwie, nie chciałbym mówić... Tę nową pracę znalazłem w wydziale zatrudnienia. Po śmierci Wiktora Grulkowskiego (w 1981), popularnego kustosa, we wdzydzkim skansenie nie było przewodnika mówiącego po kaszubsku. Postanowiłem kontynuować jego tradycję. Opowiadam zwiedzającym po kaszubsku historię Wdzydz, skansenu, mówię o codziennym życiu Kaszubów, a od czasu do czasu wplatam gadki i zagadki, choćby takie jak ta: „Co to je — pięć dzurów w jedną dziurę?”

— *A co to jest?*

— Rękawiczka.

— *Mówi pan po kaszubsku nawet wtedy, gdy oprowadza pan turystów z głębi kraju?*

— Tak. W takich sytuacjach mówię bardzo powoli i tłumaczę bardziej niezrozumiałe słowa. Ludzie to

lubią, robi to na nich duże wrażenie, bo i widzą kaszubskie, i słyszą.

— A pan nie tylko gawędzi, ale i pisze po kaszubsku. Zadebiutował pan w „Pomeranii” w 1984 roku opowiadką „Zabytek”. Dopiero wtedy zaczął pan pisać?

— Gdy pracowałem w Wojewie, posłałem kilka kaszubskich gadek do „Kaszëb”, ale nie wiem co się z nimi stało. Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

— Czy od razu zaczął pan pisać po kaszubsku?

— W szkole średniej pisałem wiersze po polsku, adresowałem je — jak to zwykle bywa w tym wieku — do koleżanek i kolegów. Wiersze układałem pod wpływem Włodzimierza Majakowskiego. On wtedy był bardzo popularny.

— Wracając do „Kaszëb”. Czy dopiero dzięki temu pismu zetknął się pan po raz pierwszy z literaturą kaszubską?

— Czytałem, prenumerowałem „Kaszëbë”, ale literaturą kaszubską zacząłem interesować się wcześniej. Gdy byłem dziewięcioletnim chłopcem ojciec czytał nam, dzieciom, wejherowską „Zrzesz Kaszëbską”, a także „Zecé i przigodé Remusa” Aleksandra Majkowskiego, „O panu Czörlińszim co do Pucka po sece jachól” Hieronima Derdowskiego i wiele innych kaszubskich książek. Jego te sprawy bardzo pasjonowały. Miał specjalny sposób czytania kaszubskich rzeczy, często improwizował, ubarwiał słownictwo.

— Przysyłając po raz pierwszy do naszej redakcji swoje opowiadki napisał pan w liście, że „Pomera-

nie” polecił panu Tadeusz Sadkowski, który również pracuje w skansenie we Wdzydzach.

— Tak było. Wtedy, gdy nie otrzymałem odpowiedzi z „Kaszëb”, nie przestałem pisać. Z tym, że moje gadki i opowiadki czytałem krewnym i znajomym. Tadeusz Sadkowski był jednym z nich.

— Akcje tych opowiadań, można powiedzieć humoresek, rozgrywają się we Wdzydzach albo we wsiach, których nazwy pan nie zdradza. Wciąż jednak przeżywają się w nich ci sami bohaterowie.

— Nazwiska moich bohaterów są autentyczne, to znani mi dobrze mieszkańcy Gostomka, gdzie byłem nauczycielem przez 9 lat. Bohaterowie ci jednak nie są autentyczni w pełnym tego słowa znaczeniu. Ich charakter, zachowania są fikcyjne.

— I jak oni to odbierają?

— Wiem, że moje gadki wywołały w Gostomku sensację. Ludzie jednak nie mają mi za złe, że tak ich przedstawiam.

— Pana humoreski nie są tylko opisem śmiesznych, zabawnych sytuacji. Rejestrują autentyczny klimat wsi kaszubskiej, obnażają nasze rodzime przyzwyczajenia i słabości. Ale czy tylko ten gatunek twórczości pana interesuje?

— Zamierzam opisać dzieje zagród kaszubskich, które zostały przeniesione do naszego skansenu. Są to często dramatyczne historie. Nie wiem jednak, czy to mi się uda.

Rozmawiał Stanisław Janke

Sprôwczi smętka

Ryszard Landowski

Co jaczis czas młodi Kriwkôl i Môltës zachôdelë do Sawicczich Jôzwë pogôdac so o rozmajitich sprawach, bo Jôzwa pochodził z Bórkowniôków i miôł w nogach wrosłë wanożenië po jôrmarkach. Przëwëkł do szachrowaniô, jak kôżdi Bórkowniôk.

Ti dwaji, Kriwkôl i Môltës, jak na nich chëra wlażła i czëlë so, jakbë zjedłë grôpë krëlków z ocem, tédë chutuszko szlë do Jôzwë, le o cemku, cobë jich białczy nie uzdrzałë.

U Jôzwë rozprôwiëlë o szachrowanim w Koscérznie i jinszych szachrowaniach a nôwicy gôdôł Bórkowniôk. Zebë lepi stożëc, wëcygôł ze szafë colemało flaszkę krówscziégò sznapsu zrobionégò ze szlëpu.

Rôz, cziej oni so tim sznapsem wnetk užerłë zaczęło so szachrowanië krowami, co bëło gwës sprôwką Smëtka, jaczis le zdôł na to, zebë co wëstworzëc.

Kole dwanôsti ju bëło jak Smëtka szcierowôł Môltësã dodóm, i Môltës szedł, a przëprowadzył Biôłã, cobë ję na Bestrã z Jôzwã przëszachrowac. I przëszachrowôł, le muszôł na dodôwk postawic kornusa — całã budlë „łzów szôhtësa”, jak to jinszi gôdają. Môltës zaprowadzył Bestrã do swôjégò chléwa, zezôrgôł połôwkę „żëtka” i przëlôżi nazôd. Przë ny połôwce Smëtka napuszył Jôzwë na Kriwkôlã, a ten gnôł do swôjégò chléwa i przëszedł nazôd z Knagã, chtërnã uwiązôł kole Biôli, co przedtim, jész przed dwanôstã godzënë nôleża Môltësowi, a terô Jôzwie. Potim skocził we wies i z kornusem zarô wrôcył.

Kornusa ju pilë przë krowach. To szachrowanië bëło cekawë: Kriwkôl so upiérôł, zebë mu Jôzwa za połôwkę kornusa dëtczy oddôł, bo Knaga bëła tëlë wôrt co Biôłô. Stanëło przë ostatku na tim, że w kuchni wëpiją od Jôzwë flaszkę jego krówscziégò

sznapsu... I tak wiedno hańdlowelë, donąd, jãz so czësto zezerlë. A Smëtka le so smiôł, że gburëm dëtczy z czieszeni wëcygnął.

A biédne knadzi wiedno na drëdzi dzëń bëłë nazôd w swôjich chléwach, jakbë te szachrowanigo nijak nie bëło. Białczy nëch trzech szachlôrzów tak ju so przënëcëlë, że wczas reno, jak chłopi spelë u Sawicczich, w kuchni, one ju miałë krowë scygionë na swôj mól i wëdôjonë. A chłopóm nick nie gôdalë, bo to gôdanië nick nie pomôgało.

Tim razem równak bëło jinaczi.

Reno u Kriwkôłowi Lënë bëła zmiartô czôrnô krowa, z biôłã gwioźdzką midżë rogama. Të krowë Lëna zaprowadzëła do Sawicczich. U Sawicczich bëła Biôłô, Môltësów, tej zanëka ję do Môltësów, stądka wżëła swôję Knagę i przëprowadza ję do se.

Tédë po tim wszëtczim Bórkowniôk ostôł z nowã, czôrnã krowã, z nã gwioźdzką na blësy, chtërnô nie bëła z naji wsë — on to wiedzôł, tęc to bëł znóny szachrownik; najë krowë wszëtczë znôł. Cziej Jôzwa nad tim medutowôł, zdôwało mu so, że chtos w kumie so czichrotôł, le nikogo ni mógł uzdrzec.

Terô Jôzwa lófrëje po jôrmarkach. Ju nie szachrëje, le chce nalezë swôjë Bestrã, zebë białka dała mu pòku. Szachrowanië knagama w naji wsë, w całoscë so skuńczëło. Bo chto chce ze Smëtke so užerac?

Lëdze z naszich strón! Pomożta Sawicczich Józefowi nalezë jego krowë, bo czësto obarknie przez swôję białkë, a më stracymë nôlepszegò szachrownika. Dlô rozeznaniô Bestri uwôżômë: jeden scizli rôg; ogón od górë je prosti, niżi kask jidze na szrëj, w prawã stronę, zebë przë kuńcu znôu bëc prostim.

Stari Dżëmińszci, cziej so o ti zmiarti, czôrny krowie dowiedzôł, rzekł:

— Ju piérwi lëdze gôdelë, że kornus i jinszë sznapsë to diôblińszci wënalôżk, wszëtko do te, zebë lëdzy psëc.

Pôzdni jész rozprôwiôł:

— Na Kaszëbë, do naszich wsë krówsczi sznaps jaczis diôchël sprowadził po drëdzi swiatowi wojnie, bo mu so z Hitlerem nie udało podbic całégò swiata.

Czë diôchël?...

(lëstopadnik '84)

Stryjec wspaniały

Edmund Puzdrowski

Twórczość Ryszarda Stryjca wpięła się na trwałe w rząd najznakomitszych zdarzeń w sztuce gdańskiej. Artysta po wielokroć utalentowany, aktywny jako malarz i autor bardzo osobistych i niepowtarzalnych rzeźb ceramicznych, jest szczególnie ceniony jako grafik i rysownik. Jest to jedyny bodajże ze znanych mi artystów, w którego twórczości tak żywo i znacząco obecny jest Gdańsk, z całą swoją tradycją miasta-słońca. Miasta splatającego z wątków wielu kultur niepowtarzalny wyraz kultury własnej. Dawny Gdańsk stał się rodzajem mitu i jako taki stanowi motyw wielu zabiegów artystycznych, nie tylko plastycznych, ale pośród ostatnich właśnie twórczości Ryszarda Stryjca można z całą pewnością przypisać szczególne wyczucie owego klimatu miejsca, w którym znaczy nie tylko architektura, ale i przepełniającą ją powiew wieków i zdarzeń z lat ostatnich.

Urodzony w Lidzie w 1932 roku rychło poznał Stryjec dawną rozległość ojczyzny. Przeciąg historii sprawił, że mitem poczęła się stawać dla niego ziemia urodzenia, a co było odległe — nie tylko w wymiarze przestrzeni ale i czasu — stało się miejscem na życie. W ten sposób pojawił się w Gdańsku Stryjec, a Gdańsk w twórczości Stryjca. Wszystko to jest uproszczeniem, jak wątek baśni, a przecież wcale nie baśniowy był czysto ludzki wymiar tych faktów.

Wystawa prac Ryszarda Stryjca w gdyńskiej Galerii Grafiki i Rysunku BWA, zorganizowana na przełomie czerwca i lipca przy współpracy Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, stała się wydarzeniem nie tylko dlatego, że ujawniła większy zestaw prac tego artysty, tak rzadko oglądanych ostatnimi laty, co przede wszystkim z tego względu, że najobszerniejszą jej część stanowiły rysunki. I to rysunki ostatnie, z pierwszych — a bardzo dla artysty pracowitych — miesięcy tego roku. Kilkadziesiąt prac, licząc z grafikami powstałymi w szczególnie przez Stryjca ulubionej technice łączenia akwaforty ze sztychem, stanowiło świetny przegląd jego pasji i obsesji, nadziei i lęków — coraz bardziej przenikając ciemną, tajemną sferę ludzkiego doświadczenia. W porządku znaków przywoływanych przez artystę coraz częściej zdają się dochodzić do głosu wątki eschatologiczne.

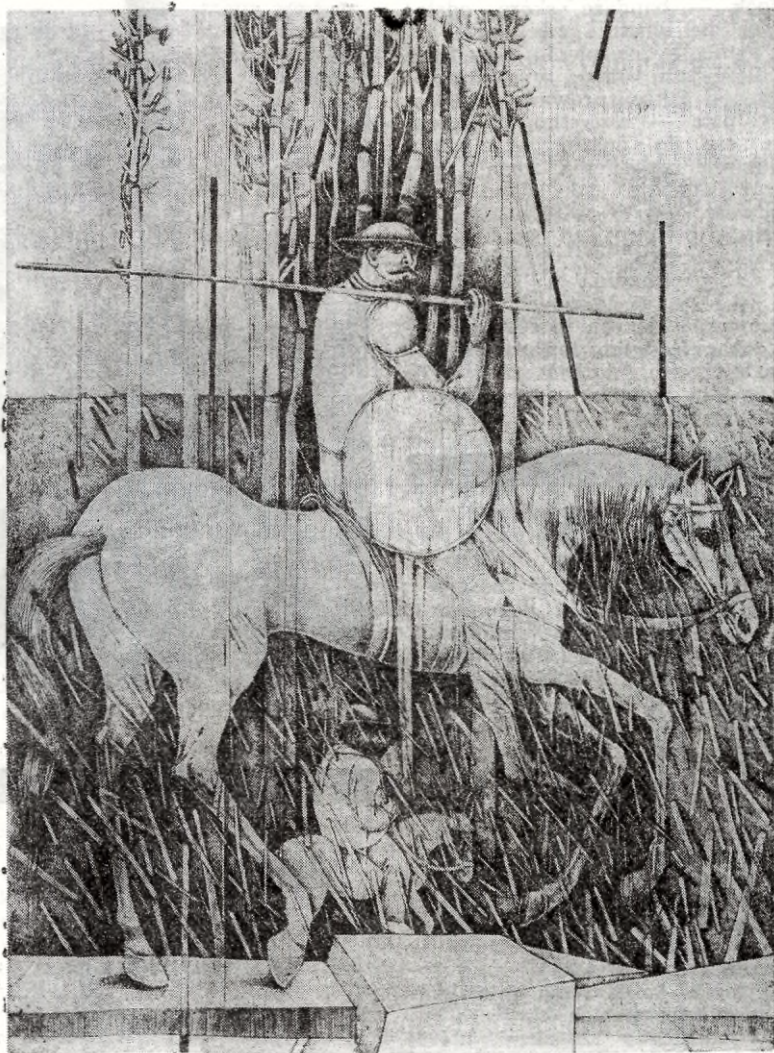
Na płaszczyznach rysunków i grafik, w bogactwie przywoływanych przez artystę symboli i znaków, wśród bohaterów w quasi-histerycznych kostiumach i tych, odsłaniających się przed nami w czystym i dramatycznym biologizmie unerwionych i ukrwionych ciał przenikają się czasy i prze-

strzenie budując nową i głęboko znaczącą rzeczywistość sztuki. Odsłania się przed nami rodzaj nowej przypowieści, który zgodnie z właściwościami tego przekazu może nam przekazać literę, ale także coś więcej — głębszą, alegoryczną pewność, że doświadczyliśmy prawdy o nas samych.

Poza salą wystaw i w dłuższym czasie byłem świadkiem transfigu-

trawieniu, traci po kolejnych namysłach i zabiegach swoją twarz. Zamiast niej pojawiają się ni to pręty, ni to wiązania scalające pustą przestrzeń — ślad po twarzy — w ni to kratkę, ni to więzienie; baśni przestoczyła się w dramat.

Przed wieloma laty, co stanowi już prehistorię w biografii Stryjca, otrzymał on zaszczytną nagro-



Jeździec — akwaforta

Galeria Grafiki i Rysunku BWA w Gdyni: Ryszard Stryjec — grafika, rysunek. Wystawa w czerwcu i lipcu 1985 r., zorganizowana przy współudziale Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego.

racji, której pod niecierpliwym, a może dogłębnym rylcem sztycharza doświadczyła jedna z jego grafik, ku mojemu żalowi nie eksponowana na gdyńskiej wystawie. Osobiście uważam ją za jedną z najwspanialszych prac graficznych Ryszarda Stryjca. Oto Neptun, stanowiący już skończony efekt długich i żmudnych zabiegów, cierpliwego i bolesnego prowadzenia rylca na blasze poddanej wcześniej

dę za cykl rysunków Don Kichota. Wspominam o tym wątku także dlatego, aby zwrócić uwagę, że podkreślając szczególną gdańskość tego artysty nie orientuję się według cytowanych przez niego fragmentów architektury Gdańska. Jest tyle dzieł sztuki, które cytują Gdańsk... Cóż z tego, skoro nie ma w nich ducha miejsca, czegoś niewyrażalnego, co można odnaleźć jedynie przenikając poza po-

zór rzeczy. Jak to zrobić, jak się do tego dochodzi — tego nie jestem w stanie nazwać; wiem jednak, że to się stało ze Strycem. On doszedł, może poprzez utrudzenie, może przez cierpliwość i szaleńczą wierność do tajemnicy, którą szczerze dzieląc się z nami sprawia, że to miasto — będąc miastem z cegły i kamienia — staje się także miastem z ducha. Takie przynajmniej jest i tak znaczący w tych grafikach.

Don Kichot jest zresztą po dzisiaj dziełem jednym ze znaczących bohaterów Stryja, pojawił się także na tej wystawie. Jeździec, koń, ptak, prawie romantyczny pejzaż — to kategorie wolności; a obok — bandaże, skóra, odsłaniające się wnętrza człowiecze jako symbole cierpienia; mądrość i podłość, sen jasny i wyroki przeznaczenia, także sprowadzane ludzką głupotą — wszystko to, odwołując się do naszej wrażliwości i zdolności rozumienia, zostało nam dane. Podobnie jak dano nam możliwość czysto estetycznej satysfakcji płynącej ze smakowania kreski rysunku, z precyzji sztychu, z przenikania i sąsiedztwa linii już to drapieżnych, już to giętko oplatających przestrzeń — ale zobaczyć tylko ten rodzaj doskonałości, to nazbyt mało. Ze szkoda dla artysty, a z rodzajem klęski dla widza.

Krzyż

Tadeusz Lipski

Rozstaje wiejskich dróg znaczone są krzyżami mającymi swoją historię, swoją własną intencję. W dzisiejszej świadomości przydrożny krzyż jest znakiem powszechnej wiary, ginie natomiast jego indywidualność. Odchodzą w zapomnienie jego dzieje, zanika historia miejsca, historia ojcowizny, część naszej narodowej przeszłości. Trzeba z tej przydrożnej księgi dziejów odczytać co się jeszcze da. Często zapis staje się coraz mniej czytelny, jak chociażby w przypadku krzyża witającego przybywających do Karsina mieszkańców osad dąbrowskich.

Stał pochylony ku ziemi, której tajemnicy był wiernym, niemym stróżem. Najpierw proste ramiona rozpościły się wysoko, pewnie, jakby chciały zakreślić krąg otaczający obszar oddany im w opiekę. Później zniżyły się bardzo, zbliżając się do prochów, których strzegły, jakby chciały po półwiecznej służbie podzielić ich spokój. Widział go każdy baczniejszy przejezdny, który wjeżdżał do Karsina z kierunku Wiela. Zdarzało się, szczególnie w ostatnich latach, że zatrzymywano się, aby utrwalić na zdjęciu jego intrygującą sylwetkę.

Strzegł wnętrza ziemi, w której ludzie budujący nowe życie znaleźli w 1972 r. sporo kości i czaszek



fot. Tadeusz Lorek

ludzkich. Poprzedni właściciel tej działki, pan Władysław Daszkowski, który przekazał ją córce i zięciowi, opowiada, że w tym odkryciu najbardziej zaintrygowało go to, iż we wszystkich czaszkach było bardzo zdrowe uzębienie. Czyje prochy kryje ta ziemia? Krzyż, postawiony tu w 1935 r. przejął wartę po poprzedniku. Jak sięgnąć pamięcią, zawsze czczono tu mękę Boga. Może czuwał nad mogiłami żołnierzy, pochowanych przy drodze? Kiedy robiono tam wykopy, natrafiono na wyraźny ślad kolein.

Ziemia dająca życie jest ziemią grobów. Pola leżące tuż przy wiosce kryją w sobie urny. Na głębokości jednego metra znajdują się skruszałe kamienie, układające się w kształt grobowców.

Krzyż był śladem ludzkiej pamięci o przeszłości. Zatarła się jej treść, pozostał znak. Kiedy przed 50 laty miał rozpocząć swą misję, został przyozdobiony ornamentacją na wzór swego poprzednika. Poddał się rzeźbiarskim dłoniom F. Menczykowskiego. Gdy nadeszła wojna, klął w oczy hitlerowców. Ścieli go. Znalazł schronienie w stodole W. Daszkowskiego. Po okupacji wrócił na swoje miejsce. Niższy, ale mocniejszy swoją wiernością. Mijały dziesiątki lat. Czas rzeźbił swoje znamiona. Próchniejące drewno wróżyło kres służby. Wtedy właśnie szczególnie uderzał w oczy powiększający się kontrast między niszczącą materią a pietyzmem, z jakim ludzkie ręce dbały o otoczenie krzyża. Wreszcie nadszedł czas. Przygotowano miejsce dla następcy. W maju 1985 roku nastąpiła zmiana warty. Stary, zmurzały krzyż zniknął z krajobrazu. Postawiono znak dla kolejnych pokoleń.

TADEUSZ LIPSKI

Jerzy Łysk

ZABRÓNİÓM CE

Smiôc so cziej chlêch
Redowac cziej zło
Wëszczërzac so
Że lëcho szło
Bo chobëś bił
Katowół na smierc
Ostónie na wiedno
Dobëtnô ta mësł
Co sprôwiô że ból
Choc musk wërwac chce
Stôwô so niczim

NĚKÓM WE WID

Ze skarnią rozdzôloną
NĚkóm we wid
Jak biêda
Co ôdżin widzacë
Lëcy tĚ
Dze ból
Dze zguba
Dze smierc
NĚkóm wiedno
Ě wierzĚ, wiëm
Że nie mdze kuñc
Cziej popiôł ostónie le
Na grĚpcę ti
TĚż môże wzyñc jesz kwiat

Słowniki Krzysztofa Celestyna Mrongowiusza

Ewa Czerniakowska

Mija 150 rocznica wydania „Dokładnego słownika polsko-niemieckiego” K. C. Mrongowiusza. W ogromnym dorobku pisarskim tego autora, liczącym 64 pozycje, prace leksyograficzne odgrywają ważną rolę. Dzieła te nie doczekały się jeszcze odpowiedniego opracowania, chociaż interesująco o dorobku Mrongowiusza pisali B. Slaski, A. Wojtkowski, H. Klechówna i E. Martuszecki. Wysłunięte przez tych badaczy wnioski zreferował Wiesław Bienkowski we wznawionej w 1983 r. książce pt. „Krzysztof Celestyn Mrongowiusz 1764–1855. W służbie umiłowanego języka”.

Przypomnieć wypada do dziś aktualne słowa Władysława Pniewskiego: „Cała działalność Mrongowiusza szkolna, naukowa i kaznodziejska była przejawem jednej wielkiej cnoty obywatelskiej, za którą go dzień jest upamiętnienia na wieczne czasy, wypływała z jednego źródła niewyczerpanego: z gorącego umiłowania języka polskiego aż do samozaparcia”. Umiłowaniu temu daje wielokrotnie wyraz na kartach swych prac.

Mrongowiusz żył w trudnych czasach, niosących narodowi polskiemu szczególnie ciężkie doświadczenia. Czasom tym wydał nieustępliwą walkę. Przejawia się ona w wysiłku intelektualnym, w działalności pedagoga, kaznodziei i uczonego. W walce o umiłowany język polski posłużył się bronią, którą najlepiej władał. Zakusom germanizacyjnym przeciwstawił dostępne i znane mu środki obrony, wynikające z posiadanych przezeń doświadczeń pracy badacza i pedagoga. Orężem swym uczynił bowiem polską książkę, kalendarz, kancjonał, postyllę, podręcznik gramatyki czy słownik. One to właśnie w rękach Mazura, Kaszub czy mieszkańca Gdańska pierwszej połowy XIX w. miały sprawić, aby dźwięki mowy ojczystej nie zginęły wśród tej obcej, zaborczej. A więc pobudki patriotyczne, a nie tylko względy naukowe skłoniły Mrongowiusza do prac na polu leksykografii polskiej.

Wiemy, że prowadzona przez Mrongowiusza walka nie zakończyła się za jego życia zwycięstwem. Zdawał sobie z tego sprawę. W trzy lata przed śmiercią w liście do Adama Mickiewicza, mimo widocznej beznadziejności swych półwiekowych wysiłków, jeszcze nie wątpił o szczęśliwej przyszłości: „Zielony kolor nadziei spełni nam, i powtarzały się często w życiu owe dzieje o Syzyfie, kamień pod górę toczącym. Któż by nie ubolewał nad losem narodu polskiego. Niewybadane są drogi Pańskie! Ale koniec może być wesół”.

Nadzieja ta i chęć służenia narodowi nie opuszcza go aż do śmierci. Specjalnej więc wymowy nabierają słowa z „Krakowiaków i Górali”, które Mrongowiusz zapisał na autorskim egzemplarzu swego podręcznika:

„Niemądry, kto wśród drogi
z przestachu traci męstwo:
im sroższe ciernia, głogi
tym miłsze jest zwycięstwo”.

Trwał więc niewzruszenie na swym posterunku, wypełniając do ostatniej chwili życia powierzone mu obowiązki duszpasterza kościoła św. Anny i nauczyciela języka polskiego w d. szkole św. Jana. Jego śmierć (3.06.1855 r.) kończy działalność ostatniego lektora języka polskiego w Gdańsku. Od tej pory za-

brakło czujnego obrońcy polskości w Gdańsku. Pozostał jednak jego ogromny dorobek w postaci licznych dzieł. Wśród nich ważną rolę odgrywają słowniki. Dorobek Mrongowiusza w dziedzinie leksykografii jest trwały i do dziś aktualny.

Pierwszy słownik Mrongowiusza wydany został w 1794 r. w Kwidzynie. Nosił tytuł „Nowy słownik polsko-niemiecki, w którym osobiście na dobrą niemiecką względ miano”. Wydany w formacie ósemki liczył 108 stron. Drugie wydanie tego słownika ukazało się w Królewcu w 1803 roku. We wstępie do słownika z 1835 r. oświadcza: „Jedynie myśl o wykształceniu i uszlachetnieniu biednego ludu polskiego przez naukę w jego mowie ojczystej ożywiła mnie i czyniła lżejszą tę ciężką pracę”.

Kolejny słownik, tym razem niemiecko-polski, ze względów finansowych wydany został w dwu częściach w latach 1820–1823. Liczył już 712 stron formatu czwórki. Słusznie pisał W. Pniewski: „O stworzenie tego słownika powinni się wówczas w pierwszym rzędzie ubiegać Niemcy, szczególnie po zaborze tak wielkich obszarów polskich. Toteż nie miało chwały przybyło nauce polskiej, że wyprzedziła pod tym względem naukę niemiecką”.

W latach trzydziestych wyszły dwa najlepsze słowniki Mrongowiusza, które na stałe określiły wybitną rolę tego uczonego w leksykografii polskiej. „Dokładny słownik polsko-niemiecki” wydany został w 1835 r. w Królewcu. Liczył 670 stron formatu czwórki. Na karcie tytułowej widniało motto w języku polskim:

„Na język nasz częstokroć płocho wyrzekamy,
Jest to skarb nieprzebrany, ale go nie znamy”.

Też w Królewcu, w dwa lata później wyszedł „Dokładny niemiecko-polski słownik”. Stanowił on drugie, powiększone i poprawione wydanie słownika z lat 1820–1823. W formacie czwórki liczył 758 stron. Autor usiłował zgromadzić w tych dwóch słownikach jak największe bogactwo leksyki polskiej (np. w słowniku z 1835 roku ok. 50 tys. haseł). Jak na przekładowe słowniki dwujęzyczne zakres wykorzystania źródeł jest wyjątkowo obszerny, a dobór słownictwa przemyślany i bardzo bogaty.

Kolejny słownik wyszedł w 1838 r. pod tytułem „Słowniczek polsko-niemiecki zawierający w sobie treść wyrazów najpotrzebniejszych w rozmowie potocznej” i miał 121 stron formatu ósemki.

W 1854 r. wyszło w Królewcu, bez zgody autora, nowe wydanie „Dokładnego słownika niemiecko-polskiego”, przygotowane przez W. Wyszomierskiego. Mrongowiusz ubolewał, że wydawca go pominął, gdyż mógł wzbogacić nowe wydanie dalszymi przyczynkami, zbieranymi bezustannie przez lat prawie dwadzieścia od poprzedniego wydania swego słownika. Dowiedziawszy się więc, że August Bielowski przygotowuje nowe wydanie „Słownika” Lindego, spieszy mu na rok przed swoją śmiercią z pomocą, udzielając wyciągów ze swoich kolektaneów językowych.

Charakterystykę zapaływań leksykografa można ocenić na podstawie wypowiedzi zawartych w hasłach słownikowych. I tak w słowniku z 1837 r. pod hasłem „Schein” (Pozór, kształt) znajdujemy cytát: „Trybunał, do którego włościanie mogli pociągać, uskarżać się i otrzymać sprawiedliwość na starostów, miał swój byt jedynie dla kształtu”.

Podobnie jak przekonania społeczne (wyrażał wielokrotnie sympatie dla wieśniaków) również patriotyzm Mrongowiusza znalazł odbicie na kartach jego słowników. Niektórzy badacze zadawali pytanie: Czy Mrongowiusz czuł się Polakiem? W swych słownikach zaświadczyl w sposób całkowicie wystarczający o swym poczuciu polskości. Andrzej Wojtkowski zbadał docieklawie, ile realiów z historii Polski włączył Mrongowiusz, świadomie uwypuklając historyczną

*) Recenzja tej wartościowej monografii ukazała się w „Pomeranii” w nr. 12 z 1984 r. Autor recenzji, Tadeusz Lipski, przypomniał, że w roku 1984 mija 220 lat od urodzin K.C. Mrongowiusza, a w 1985 r. 130 lat od jego śmierci. Czytelników zainteresowanych biografią gdańskiego uczonego odsyłam do wspomnianej książki i jej recenzji oraz do artykułu Edwarda Brezy „Nazwiska kilku humanistów pomorskich” („Pomerania” 1983 nr 7, s. 43–44), gdzie wyjaśniono pochodzenie nazwiska Mrongowiusz.

przeszłość narodu, do swych słowników z roku 1835 i 1837. Podniósł dzielność i zasługi władców polskich: Chrobrego, Łokietka oraz dowódców: Chodkiewicza, Poniatowskiego, Koziętulskiego. Odwołał się do tradycji zwycięstwa pod Grunwaldem, a także Konstytucji 3 maja. Pod hasłem „Oderwa” zanotował: „Prusy, Śląsk, dawne oderwy od naszego kraju”. Jako prawdziwy patriota nie pozostawał obojętny na aktualne wypadki polityczne i losy narodu. Świadczą o tym np. zwroty i zdania odnoszące się do powstania listopadowego. I tak w słowniku z 1835 r. pisze, że „naczelnie dowodzący” znaczy tyle, co niem. „Oberbefehlshaber” i dodaje: „np. Skrzyniecki”. Pod „Wanderer” pisze, że polski odpowiednik tego wyrazu „przechodzień” użyty został w pięknej mowie Antoniego Ostrowskiego, wygłoszonej nad grobem podpułkownika Karskiego.

Właśnie pobudki patriotyczne oraz wspomniana sympatia dla wieśniaków i zrozumienie dla ich krzywdy legły u podłoża zainteresowań Mrongowiusza dialektem kaszubskim. Zauważał on skutki wynaradawiającej polityki rządów pruskich względem ludności kaszubskiej w prowincji pomorskiej. W 1823 r. w przedmowie do „Słownika niemiecko-polskiego” ubolewał nad szybkim zanikaniem kaszubszczyzny, a zwłaszcza dialektu Kabatków. Nawiązana przez niego korespondencja z uczonymi rosyjskimi stała się podstawą programu badań kaszubszczyzny, które postanowił przeprowadzić w okolicy Słupska.

Na prośbę założonego w 1823 r. w Szczecinie Towarzystwa Dziejów i Starożytności Pomorskich przedstawił w dziewięciu punktach swój program badań. Znalazły się tu także zagadnienia leksykograficzne, a mianowicie sporządzenie małego słownika wyrazów kaszubskich oraz zbioru przysłów kaszubskich.

Pierwszą podróż odbył Mrongowiusz w maju 1826 r. kierując się do Cecenowa i Głównicz. W czasie tej podróży sporządził, nie zachowany do dziś „Zbiór niektórych wyrazów kaszubskich spisanych ortografią polską, a różniących się od języka polskiego”. Zebrał też kaszubskie nazwy miesięcy oraz nieco przysłów, np. „Ja Pón i ty Pón, a któż bondze świnie pasc”.

Po raz drugi w okolicy Słupska wyruszył w czerwcu 1827 r. Otrzymał wtedy od pastora Magunny z Łeby odnalezione drugie wydanie katechizmu Lutra, w przekładzie Michała Mostnika-Pontanusa z 1758 r. Wydanie to jest z lekka dialektyzowanym tłumaczeniem na język polski, z pewną liczbą wyrazów o typowych kaszubskich cechach fonetycznych. Dzieło to wielokrotnie wykorzystywał w swoich słownikach (np. hasła „Charna”, „Czestuje”, „Poćwierdzać”). W wyniku tej podróży starał się Mrongowiusz wyjaśnić etymologię nazw Kaszubów i Kabatków, wywodząc je od części ubioru.

Bolesław Ślaski w artykule „Mrongowiusz jako leksykograf kaszubski” pisze, że „za największą zasługę Mrongowiusza należy uznać to, że on pierwszy z naszych leksykografów zwrócił uwagę na narzecze kaszubskie i włączył zebrany materiał do swego słownika, używszy na oddanie dźwięków kaszubskich wyłącznie liter alfabetu polskiego”. Ogółem Ślaski wynotował 200 wyrazów uważanych przez samego Mrongowiusza za kaszubskie (np. blon 'chmura', kon-tur 'ropucha'), z pominięciem zamieszczonych w jego słownikach takich prowincjonalizmów polskich, które znane są i na Kaszubach (np. białka 'kobieta', gbur 'gospodarz', szkolny 'nauczyciel').

O zasługach gdańskiego uczonego w badaniach kaszubszczyzny pisał W. Pniewski: „Badania kaszubskie prowadzili po śmierci Mrongowiusza dalej uczeni rosyjscy, polscy i niemieccy, i jeśli dialekt zbędany jest tak doskonale, jak może żaden inny słowiański, to bez przesady powiedzieć można, zawdzięczamy to w znacznej mierze szczególnemu zamięłowaniu do dialektów polskich, inicjatywie i usiłowaniu Mrongowiusza”.

Poza zajęciami duszpasterskimi i szkolnymi Mrongowiusz pełnił także obowiązki tłumacza sądowego. Tłumaczył więc na język niemiecki umowy zawarte między ekspertami zboża czy drzewa a szypcami i flisami spławiającymi je do Gdańska oraz stare in-

wentarze majątkowe sięgające niekiedy wieku XVII, zaś na język polski odezwy, regulaminy i listy gończe. W ten sposób zapoznał się z różnorodnym fachowym słownictwem polskim, np. z zakresu żeglugi, konstrukcji statków, rybołówstwa. Wyraz, których nie znał, kazał sobie objaśnić szypcom, flisakom i Żydom-faktorom pływającym na statkach ze zbożem. To, czego się od nich dowiedział, wykorzystywał potem w swoich słownikach. W słowniku z 1835 r. umieścił np. wyraz „mreżka”, który mu pewna „wiarygodna osoba z Bożegopola pod Lęborkiem” wyjaśniła jako sieć do łowienia w rzece Łebie ryb, zwanych po kaszubsku brzeniami. Pewien Żyd powiedział mu, że „krypa” oznacza mały galar, a w umowach flisackich przeczytał, że „chlebowe” oznacza strawne. A Wojtkowski nazwał Mrongowiusza pierwszym polskim leksykografem, który dotarł do prostych ludzi.

Słowniki Mrongowiusza uwzględniają także nazwy geograficzne. Ciekawym przykładem jest hasło „Gdańsk”. W słowniku z 1835 r. podał kaszubskie brzmienie tej nazwy: Gduńsk, Gdynsk oraz przytoczył z Kromera jej etymologię: „Wizimierz wielką mając okwitość więźniów duńskich onemi miasto morskie osadził, które Dańskiem albo Gdańskiem od Duńczyków na ono miejsce wprowadzonych, nazwał”. W słowniku zaś z 1837 r. pod hasłem „Danzig” umieścił: „Polska bez Gdańska i Wieliczki nie warta jest tej świeczki — napisał ktoś na transparencie malej świeczki w czasie iluminacji miasta z powodu przywrócenia państwa polskiego pod Napoleonem”. Pod hasłem „Oliwa” znajdujemy natomiast przysłówie: „Bodayes nie miał chleba inszego jak w Oliwie”, co stanowiło przymowę do skamieniałego chleba, który pokazuje w klasztorze oliwskim.

Ciekawym archaizmem, który utrwalony został w słownikach Mrongowiusza jest „Pomorska”. Termin ten oznaczał ziemie Pomorza Zachodniego. Pod hasłem „Pommern” znajdujemy objaśnienie: Pomorska, Pomerania, Pomorze, natomiast pod hasłem „Odtać” — przykład: „Pomorska ziemia odstąpiła od Mieczysława, a do Kazimierza przystąpiła”.

Ważnym problemem leksykografii Mrongowiusza są cytaty z literatury pięknej. Cytaty te są dowodem wielkiej erudycji Mrongowiusza oraz wszechstronnego odczytania piśmiennictwa polskiego z różnych epok historycznych. Gdański leksykograf wykorzystał w swych słownikach dorobek kilkudziesięciu pisarzy polskich. Słowniki swe pisał już po wydaniu „Słownika” Lindego. Wykorzystywał zatem pisarzy, których jako późniejszych nie mógł użytkować Linde. Dzięki badaniom A. Wojtkowskiego wiemy, że Mrongowiusz był pierwszym leksykografem, który wprowadził Adama Mickiewicza do słowników języka polskiego, a w trzy lata po ukazaniu się „Pana Tadeusza” już cytował ten utwór.

Mrongowiusz uwzględnił też wielu innych autorów, wykazując dobrą orientację w aktualnym życiu literackim. Czytał np. „Momusa” Alojzego Żółowskiego i wypisał z niego sentencję, że „cnota musi to być niezmiennie stara dama, bo wszyscy ją poważają tylko, a nikt jej nie chce” i umieścił ją pod hasłem „Tugend” (Cnota). Można więc nazwać Mrongowiusza krzewicielem literatury polskiej. Nigdy natomiast nie popularyzował w słownikach niemieckiej literatury pięknej, a przecież w słownikach niemiecko-polskich znaczenie hasła należałoby przedstawić przy pomocy cytatów z literatury niemieckiej.

Sila przywiązania Mrongowiusza do języka polskiego była tak wielka, że nie mogła jej stawić tamy nawet wyznaczona doktryna teologii protestanckiej. W r. 1821 Mrongowiusz przetłumaczył z niemieckiego i wydał w Gdańsku „Xiążkę Uczebną dla Szkół Biskupstwa Warmińskiego”. Przekład ten uzyskał aprobatę zarówno „zwierzchności krajowej”, jak i władzy biskupiej. Również w słownikach wielokrotnie daje dowód swojej tolerancji. Pod hasłem „Czestochowa” objaśnia: miasto w Sieradzkim ze słynnym obrazem Matki Boskiej. W kilku dłuższych cytatach wymienia papieża (np. hasła „Rozczulenie”, „Vierspännig” ‘Poczwórny’) i biskupa chełmińskiego („Verwendung”

tj. wstawienie się). Oczywiście z łatwością mógł Mrongowiusz znaleźć inne przykłady na wyjaśnienie tych wyrazów, a jednak nie uczynił tego. Potwierdzają się więc słowa W. Pniewskiego: „Religijność jego i pobożność dziecięca nigdy nie wyradza się w bigotyzm lub, broń Boże, fanatyzm, zupełnie mu obcy — jest od samej młodości tolerantem i z innowiercami, także duchownymi, w przykładnej umie żyć zgodzie. Jest w pełnym znaczeniu tego słowa człowiekiem i Polakiem”.

Niestety, Mrongowiusz nie doczekał się w Gdańsku nagrody za długoletnią pracę w dziele wytrwania polskość w trudnych warunkach życia zaborczego. W 1840 r. zapomniano nawet o jubileuszu pięćdziesięciolecia pracy gdańskiego pastora. Mimo robionych mu trudności nie tracił jednak nadziei. W liście do Staszica pisał: „Dobrze ci tak! odzywają się gdańscy przyjaciele w tonie p. starosty Gadulskiego. mówiąc: trzeba ci było cicho siedzieć! Prawda, ale moje powołanie jako lektora języka polskiego było mi wielką pobudką, a po części i powinnością zatrudnić się tą pracą. Więc nie tracę wiary w dobroć ludzkości...”.

Cenne wyróżnienie jego osoby nadeszło aż z Paryża, gdzie na wniosek A. Mickiewicza Towarzystwo Historyczno-Literackie postanowiło okazać wdzięczność Mrongowiuszowi za „niezmordowane i ważne prace około języka polskiego”. W uznaniu jego zasług 24.02.1852 r. wystosowano do Mrongowiusza list, przysługujący mu członkostwo Towarzystwa, podpisany przez Mickiewicza. Można wyobrazić sobie radość Mrongowiusza. Był to przecież list od człowieka, który już wcześniej pocieszał go słowami: „Miasto Gdańsk, niegdyś nasze, znowu będzie nasze” („Pan Ta-

deusz” ks. IV w. 823). Wraz z listem ofiarowano medal, wybity na cześć księcia Adama Czartoryskiego, z wyrytym na otoku napisem: „Christophoro Coelestino Mrongovio, nominis Poloni in Prussia antesignano” (Krzysztofowi Celestynowi Mrongowiuszowi, przedchorągiewnemu obrońcy polskość w Prusiech).

Pięknie też ujął znaczenie i rolę gdańskiego uczonego w historii kultury polskiej współczesny mu historyk — F. M. Sobieszkański: „Żywot Mrongowiusza to historia jego ziemi, to dzieje Pomorza w ostatnich latach; kierował on bowiem nie tylko sumieniem, ale umysłowością powierzonych jego pieczy osób”.

Obecnie w Gdańsku o zasługach Mrongowiusza przypominają dwie tablice pamiątkowe, ufundowane w stułecie śmierci, w 1955 r.: jedna u wejścia do Muzeum Narodowego, gdzie stał kiedyś budynek Gimnazjum Akademickiego, w którym wykładał Mrongowiusz język polski, a druga na budynku przy ul. Straganiarskiej 19, gdzie mieściła się szkoła św. Jana, ostatnia placówka pedagogiczna Mrongowiusza w latach 1812—1855. Gdański leksykograf jest też patronem uliczki na Stogach, na terenie starego osiedla Krakowiec.

Literatura: Krzysztof Celestyn Mrongowiusz 1764—1855. Księga pamiątkowa pod red. W. Pniewskiego, Gdańsk 1933. W. Bienkowski, Krzysztof Celestyn Mrongowiusz 1764—1855. W służbie umiłowanego języka. Wyd. 2, Olsztyn 1983. B. Ślaski, Mrongowiusz jako leksykograf kaszubski, „Slavia Occidentalis” 1927, t. 6, s. 213—224. A. Wojtkowski, Nowa monografia o Mrongowiuszu, „Roczniki Humanistyczne” 1967, R. 33, s. 205—212. H. Klechówna, K. C. Mrongowiusz jako językoznawca, „Rocznik Olsztyński” 1968, t. 7, s. 63—76. E. Mar-tuszeński, Polscy i niepolscy Prusacy. Szkice z historii Mazur i Warmii, Olsztyn 1974.

Armator kaszubski Klemens Długi

Tadeusz Krzysztof

Opracowanie to jest jak gdyby dalszym ciągiem „Kaszubskiej żeglugi handlowej z Rewy”. Chociaż każde z nich stanowi zamkniętą całość, to jednak uzupełniają się wzajemnie. Bo jeśli żegluga, to i ludzie ją uprawiający, a więc właściciele statków, czyli armatorzy. Jednym z nich był Klemens Długi.

Jakże inni byli armatorzy wówczas, gdy Polska uzyskała niepodległość i dostęp do morza w 1920 roku, i jakże inni są dzisiaj — okazałe gmaszyska-biurówce, tysiące ludzi i setki statków. Armator Klemens Długi — to mała domka kryty słomą, a potem papą i jeden człowiek. Sam sobie armatorem, kapitanem, sternikiem, robotnikiem, kupcem. Własnoręcznie wykonywał remonty, wyrabiał liny. A w okresie martwym dla żeglugi przybrzeżnej, prócz wykonywania różnorodnych remontów statku, zajmował się hodowlą jednej świni, kilku kur i urawiał na własne potrzeby rybołówstwo.

Klemens Długi urodził się 18 listopada 1836 roku w Rewie. Ojciec jego, Paweł Józef od najmłodszych lat związany był z morzem. W młodości pływał jako marynarz na skutach rewskich, a w roku 1895 stał się właścicielem skutu „Helena”. W martwym sezonie zajmował się z powodzeniem krawiectwem, obszywając całą Rewę. Matka, Maria z domu Brunat, pochodząca z Chyloni, zajmowała się gospodarstwem domowym i wychowywaniem pięciorga dzieci.

Klemens Długi naukę w czteroletniej dwuoddziałowej szkole publicznej w Rewie ukończył w 1907 roku. Od najmłodszych lat pomagał ojcowi przy konserwacji statku, brał udział w rejsach do Gdań-

ska. Pracę na ojcowskiej szkucie przerwało powołanie na komisję poborową w lutym 1907 roku do Wilhelmshaven. Zostaje jednak odroczony do 1 grudnia tegoż roku. Korzystając z wyjazdu udaje się do pobliskiego Bremenu i tam zaciąga się 20 marca 1907 roku na parowy statek „Atlas”. Zaokrętowany został jako młodszy marynarz, z zarobkiem 50 marek miesięcznie. Na statku tym pracuje do 19 czerwca 1907 roku. Do wojska powołany zostaje 15 stycznia 1908 roku i skierowany do 3 kompanii II dywizji morskiej w Wilhelmshaven. Z wojska zostaje jednak szybko zwolniony (20.03.1908 r.) jako niezdolny do służby. Wracą do Rewy i pracuje u ojca na szkucie „Helena”. Powtórnie zmobilizowany 21 sierpnia 1917 roku, otrzymuje przydział do I morskiej dywizji. W czasie pełnienia służby woj-skowej otrzymuje 12 kwietnia 1918 roku świadectwo szypra żeglugi przybrzeżnej, wystawione przez Urząd Miejski i Narodowy w Lubecie. Na świadectwie jako miejsce zamieszkania podano Kiel. Uczęszcza także na kurs szyprow żeglugi małej (szkoły nawigacyjnej) w Kiel-Garden, po ukończeniu którego otrzymuje 18 listopada 1918 roku, również w Lubecie, świadectwo szypra żeglugi małej. Z wojska zdemobilizowany zostaje 23 listopada 1918 roku. Do Wejherowa zgłasza się po wpis jako rezerwista dopiero 15 listopada 1919 roku, a więc po roku. Gdzie przez ten czas przebywał, nie wiadomo. Prawdopodobnie podjął pracę na statkach handlowych i za zarobione pieniądze po powrocie do Rewy kupuje skutkę „Henrich”. Statkiem tym, jak wszyscy armatorzy rewscy, pracownicy transportu różne towary, zarabając na znośnym życiu. Własnym statkiem nie cieszy się zbyt długo. Z winy małego parowca „Amor”, dnia 1 września 1927 roku, dochodzi w Gdańsku do kolizji. „Henrich” osiada na mieliźnie. Klemens zabrał z niego tylko sprzęt i inne wyposażenie, które później posłużyły do przebudowy „Heleny” na dwumasztowiec. Wówczas ojciec, Józef Długi, będąc już po siedemdziesiątce, przekazuje Klemensowi skutkę „Helena”. Mówi o tym „postanowienie o stwierdzeniu praw do spadku”, wydane przez Sąd Powiatowy w Gdyni dnia



stamencie, otrzymując częściowo wyposażony żaglowiec”.

Klemens Długi, mając 41 lat, zawarł w dniu 18 listopada 1927 roku, w kaplicy w Pierwoszynie ślub z córką sąsiada, Elżbietą Recke. Teść, Antoni Recke był w młodości marynarzem i rybakim. Po ślubie przeniósł się do domu żony. W jego życiu niewiele się zmieniło. Jak poprzednio ciężko pracuje. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni przewozi na swej wypielegnowanej szkucie „Helena” piach, kamienie do Gdańska i na budowę falochronu w porcie wojennym na Helu, żwir na budowę poczyły w Pucku.

„Helena” ginie razem z dwiema innymi szkutami w końcowej fazie drugiej wojny światowej, rozstrzelana przez bezmyślnego artylerzystę. Osiedła na dnie, lecz pokład wystawał nad powierzchnię niegłębokiej w tym miejscu wody. Była jeszcze do uratowania. Pomimo usilnych starań Klemens Długi nie otrzymał zezwolenia na dotarcie do uszkodzonej „Heleny”. Kilka kolejnych sztormów dokończyło dzieła zniszczenia. Nie mając środków do życia, przez krótki okres czasu trudnił się zarobkowo połowem ryb. Następnie rozpoczął pracę jako żaglomistrz w stoczni Komuny Paryskiej w Gdyni. W 1958 roku z uwagi na coraz słabszy wzrok przechodzi na rentę inwalidzką.

Pod koniec swego pracowitego życia całkowicie traci wzrok. Umiera w Rewie, w 1972 roku. Pochowany został na wiejskim cmentarzu w Kosakowie. Leży wraz z kolegami szypkami, żeglarzami z Rewy i okolicy, którzy tworzyli część historii Polski na morzu, jaką jest kaszubska żegluga handlowa. ■

25 października 1949 roku. Postanowienie wydane zostało z uwagi na zaginięcie w czasie działań wojennych testamentu wspólnego rodziców. Postanowienie potwierdza prawdziwość zagubionego testamentu i ustala: „Natomiast syn spadkodawców Klemens Długi został pominięty w powyższym te-

Glëna

Ryszard Landowski

W naji firmie, niedalek Rostomka, wcąg bëłë stówioné jaczies firmowé budinczi. Niejedne z nich budowelë stórodównym sposobem, z glëne. A ti glëne bëło docë na mółu. Mulórz robił na zlecenié. Wiedno mu ti glëne przewiozłë tëlë co brëkowół, taką lëżką — koparką przëszruwowóną do trëkra. W tim mółu, skądą glëna bëła brónó, zrobiła so małó kula. Uzdrzól jë stróż. A jaczis dióchël nim czierowół, bo zaró połóžil obëczëc nę upë glëne, co bëła zwalonó kole budinku. Ten dióchól téż zaczął stróża podszczuwac i szëptac o złodziejstwie, przë to stróż mierzowół, że kula je wiëkszą od upë glëne kole budinku. Stróż szukół kółowózów po trëkrze, czë auce, ale ni mógł nalezë, choc lótol ódtąd dotąd. Choba potëmu ju cali nen dóchël w stróża włóžil, bo ten chutko nêkól dodóm nasztëchowac na karteluszkù słuźbowi meldënk i zaniósł to direktorowi.

Jëz tego dnia, podług ti glëne przëszëdl direktór z komisëją. Nôprzód zacząłë obzerac kulę po glënie, potëmu glëne kole budinku, żebë obszacowac wiele ti glëne je ukradłë. Le że komisëjô ni mia przë se miarë, tej no dochodzenié przësenëlë na drëdzi dżón. Na kuńc direktór rzekł:

— Le muszi bëc miara, cobë zmierzëc i wërechowac. Taczi je mój nôkóz dló pana Klapëputë.

Drëdziégó dnia stróż ju od samégó rënka zdól na komisëją. A lëdze gódelë, że nę całą noc on pilowół glëne kole budinku. — Dióchël go tak dali czierowół.

Cos kole dzësióti godzënë reno komisëjô bëła ju przë ny glënie. Nôprzód zmierzëlë kulę, pózdni upë kole budinku a tédë ksegówó kalkulatórem obrechowa, że felëje trzëcy dżël... kulë. Stróż bëł niezadowolony. Në tej ksegówó jëz rôz rechowa i wëszło to samo.

Komisëjô od nowa so wżëła za mierzenié kulë, bo stróż mówil, że piërszë mierzenié bëło niëakuratné. Potëmu komisëjô zaszła do ny glëne kole budinku. Na ny upie glëne bëło naplëgawioné, wëzdrzało, że chtos muszól przed chwilką tu bëc ze spuszczonyma buksama.

Ksegówó, cziej to uzdrzała, z trzóske uceklá. Le stróż badól, czë to je człowięczëzna, czë jaczëgos szczërza produkt. Teró ti z komisëji zaczęłë so spierac, kogo, abo czëgo to je sprówka, le mierzëc ny upë nict nie chcól.

W biurze zrobilë protokół, w jaczim nacztëchowëlë, żebë dzënný dozercowie lëpi pilowëlë tego, co so przëz brómë wëwózó.

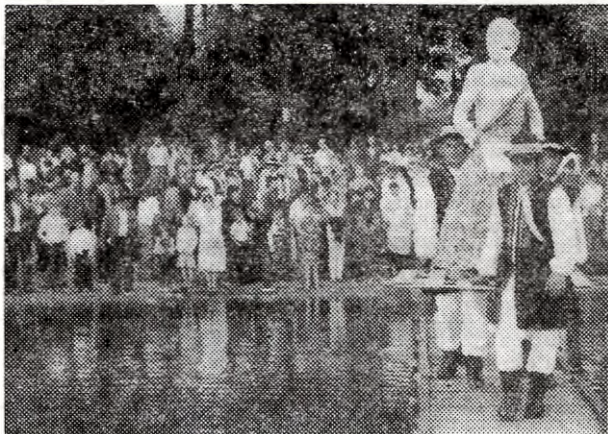
Cziej u naji, wë wsë o ti glënie chto co gódó, to móldi so pod cnikem usmiëwają a stari Dzëmińszci zaró rozprówió, że to je sprówka jednégo dióchla, co so Srela nazëwó a chtëren chcól smrodem przëgnac słuźbistów i powadzëc lëdzy.

Jak to poprówdze bëło, tego më nie wiëmë, bo to bëło jëz przed tim jak w naji Polsce nen wiöldzi porządk zacząłë robic. To so nie udaló, tej téż glënie lëdze dówają poku. ■

Tylko do 10 XI można odnowić prenumeratę „Pomeranii”

Popuścimy wodze wyobraźni i urządzmy w niej festiwal nocy świętojańskich. Oglądając „ostatnie” półtora tysiąca sobótek utwierdzimy się w przekonaniu, że „przeszłość — jest to dziś, tylko cokolwiek dalej”. Jak rzadko który obyczaj, ten właśnie jest wyrazem olbrzymiej siły tradycji, gotowej dla zachowania formy poświęcić treść swoistych zachowań ludzkich. Czas, w którym dzień jest najbardziej zaburczy wobec nocy, od wieków rządzi się swoimi prawami. Na naszym festiwalu wyobraźni wszędzie widzieliśmy ukwieconą wodę, a w jej toni odbijający się blask wielkich ogni. W epoce przedchrześcijańskiej czczono ogień i wodę, błagano te żywioły o łaskawość losu. Najkrótsza noc była czasem rozputy. U pogańskich Słowian istniał zwyczaj, że podczas tego dorocznego święta każdy miał obowiązek spać się do nieprzytomności, by doznać tchnienia boskiego. J. Krzyżanowski mówi, że „noc sobótkowa nigdy nie była lekcją moralności”. Jednak z wiekami zmieniał się charakter tego obrzędu. Pod wpływem chrześcijaństwa wyeliminowany został element obowiązkowego rozpasania. Niezmiennym tłem pozostała woda i ogień, nie jako przedmioty kultu, lecz obiekty służące wróżbom. Nowoczesne, czyli chrześcijańskie znamię nadano tej uroczystości poprzez skojarzenie wody ze św. Janem Chrzcicielem.

Czerwcowy obyczaj był zawsze bardzo żywy na Kaszubach. Zdawano sobie sprawę ze specyfiki tej nocy, o czym świadczy pochodząca z lat 30-tych naszego wieku wstępna mowa seniora wiejskiej społeczności, zapisana przez P. Szeffkę („Sobótka” Gdańsk 1958): „To je noc, gdzie dzień z nocą so mocēja, gdzie złó — z dobrym, lża z prówdą i laska z grzechém wielgą odbywają bitwę”. Tradycja ta nie ominęła Wiela. Przed wojną znana była tu jako „palenie czarownic”. Palono je w licznych ogniskach nad jeziorem i okolicznych wzgórzach. Puszczano wianki i śpiewano przy ognisku. Chór „Żaba” pod przewodnictwem Wicka Rogali organizował własne ognisko na wzgórzach za Kalwarią. To podwójne



Fot. T. Lorek

świętowanie utrwaliła w pieśni ówczesna nauczycielka i działaczka społeczna, Rozalia Narlochówna, pisząc m.in.:

„Po jeziorze łódzie płyną, słyhać pieśni z dala,
To chór męski Żaba śpiewa, to Wicek Rogala.

Z drugiej strony i Cecylii pieśni echo niesie.

Na przemiany głos orkiestry odzywa się w lesie”.

Teksty, które na „Palenie czarownic” opracowała R. Narlochówna, zostały w tym roku przypomniane przez karski zespół „Kaszuby” (nazwa „Maręszka” nie przyjęła się w środowisku). Przed wyjazdem do Wiela zespół zebrał się przed figurą św. Jana, dając tam krótki koncert. Spotkanie nad Jeziorem Wielewskim rozpoczęło się występem mandolinistek p. A. Skwierawskiego. Następnie odbył się, przy płonącym ognisku, konkurs wianków, nie mających już nic wspólnego z wróżbami, gdyż ich właścicielami byli obywatele w wieku od 3 do 10 lat. Punk-

tem kulminacyjnym wieczoru było spalenie pływającej na tratwie czarownicy, którą przywiózł ze sobą zespół. Palila się pięknie, chociaż jej głowa nie poniosła żadnego uszczerbku (czy to coś wróży?). W ślad za czarownicą popłynęły dziesiątki wianków. Piękna pogoda sprawiła, że widowisku temu przyglądało się kilkaset osób. Podczas koncertu „Kaszub” ogłoszono, że aby znaleźć szczęście, poszukać trzeba kwiatu paproci. Przy wtórze starej piosenki „Przybądź do mnie, dam ci kwiat paproci” chętni wyruszyli na poszukiwania. Lecz, jak to często bywa, do scenariusza wkrađło się życie. Przechodzące wcześniej dwie panie, nie wiedząc nic o konkursie, znalazły kwiat paproci i uręczone jego krasą zabrały go. Na szczęście, tej nocy zakwitły we Wielu dwie paprocie, co wybawiło organizatora (GOK) z opresji, a Małgosi Dorau, która znalazła ów kwiat, pozwoliło odebrać zadatek szczęścia — tekę haftu Leonarda Brzezińskiego. Na płycie tanecznej w tym czasie bawiono się w najlepsze. A, jako że czasy pogaństwa dawno minęły, kilkanaście minut po północy nad Wielm zapadła cisza. (T.L.)

Żęcé, technika, kněžczy

Eugeniusz Gołąbk

Jakbė przekęsno nie zdrzół, ksążka je dzys dnia towórę docle łeczim do dostaniō. Nie są brėkowóny w ksegniach talōnė (z mōlima wėjimkama), ani ksążeczci MM, le czasė jakō bėlniėszō knėga je przedōwōnō na subskripcėjā — nigdė jesz, w slėdnėch dzesėc latach mie so nie zdarzėło trafic na godzėnė nėch zōpisów, wiedno bėło przed abo po. Nė ale cziejbė jō chcōł, cziejbė mie le chodzėło o obstrojenie polēców mēsterzczima dokōzama introligatorcziego rzemieślā, mōm w kōłdi ksegnari bokadosc tōnych „ceglów” z ōrtu lėteraturė społeczno-politicznj.

Przechodzėc kol ksegnari a nie przėdzrzec so na wėstawionė w oknie nowoscė, nie wstėpic na sztōcyk... Wiele lėdzy mō no, jistnė co jō, przėnėceniė. A cziej trafiaj na knėżkė, co jich zaczekawi, wėdėblā ostatnėgo dėtka, obińdā so dzysō pōlniō, pōżeczā dze, żebė le miec ję we swoim zbiorze. Cėż to je potem za ucecha opōchnāj, je, przėdzrzec z wiksza a tej, doma, nalezc ji pasowny mōl na polēcė.

Ėdmund Kamińszci, „Stolem” z Wejrowa powiōdōł mie, jakno za ostatnė piėndze kupił słowōrz Ramulta — egzemplōrz, co nōlėzōł przed wojnā Aleksandrowi Majkowscziemu, przez niego tēż podpisōny. Po nym kupiszu Ėdmund — tej jesz „biėdōk”, swiėżo po szkole — muszōł na trzė niedzele „zōt wėwiesėc na płot”, ale uretōł nė drogā nama pamiątkė od wėwiezieniō do Szwėdów.

Jō swojėgo „Ramulta” dostōł jem za darmoka od nieboszczika Lecha Bądkowscziėgo. A terō ju so wpōrōdk ceszė na wėdōnā w 1938 r. „Historiė Kaszubów” A. Majkowscziėgo. Mōm ję dostac od mėgo nōlėpszėgo drėcha... ale to jesz le je obiecėzna.

Sā bodōj lėdze, co zbierāj kněžczy le wedle jich wōrtnotė materialny (dlō zōrōbkū) abo esteticzny (lubieńcowie piėkny robotė drėkarzci i introligatorzci), abo z nōłogu... tak jak chtos zbierō stōrė piėndze, szable, zėgrė, platizrė, statczy do piwa ē jistnė tanėtė. Sā jinszi, co nijak nie gardzā bėlnā ksążkā, ale ona mō dlō nich przede wszėtczim wōrtnotė praticznā (je nōrzedzė). Sā tēż taczī, co czėtiwajā wiele, a doma majā le pōrė kněžk „na krziz”, za to czėsto biwajā w publicznj biblijōtēcė. Nōczėscy potikōny, ē wierė nōchwōlebniejszi, ōrt biblijofila grėpkuje w se znanczi wszėtcziėch wėmienionėch ōrtów: zbierōcza, użėtkownikā ē czėtińca.

Okōzywō so, że nimo wiōłdziėgo pokroku w technice utėrwalanio wiedzė na corōz nōwszėch ōrtach kōmputerów, magnėtōfōnów ē magnėtowidów, stō-

romódnô, drëkowónô knëzka je jesz wiedno achtnionô. I ni ma w tim niżódnégò sentimëntu. Lëdze kupią kòzdi bëlną knëzëkã. Le jima dac! A że papióra je mało? Le go sprawiedliwé dzelëc. Ksëgarnie zawaloné są skopicą. A lëdze le chodzą, grzebią, przebieirają, kaskę gnërzają, ale... są za dobre wëchówny, żebë so spëtac o dokôżë Wańkowicza, M. Brandysa, Tyrmanda, Grassa abo Miłosza. A czë, w całoscë, chtos taczi jak Miłosz jistnieje? A czë on napisôł?

Je możebné, że lëteratura nie je ju dzysô nôbarzi pobiérnym „przekôzywôczë” wiedzë ë kulturë — wëminą ję telewizjô. Ale nóm nic nie wskôzywô, żebë tradycyjné knëzëki miałë odińc do muzëów.

Telewizjô, nen nôbarzi dzys sugestiwny postrzëdnik midzë utwórcą a odbiércą wszelëjaczich kulturówch zjawiszczów, opierô swoje programë w dosc wiôldzim dzëlu na lëteraturze. Jidze rzec, że wnetka kòzdi artisticzny program miôł nòprzód swój pisóny scenariusz. O filmach, téatrach so ju nie gòdô... A seriale filmowé, ne wszelëjaczë „sadzi”... Në i dobrze. Bo nym sposobë wiele lëdzy, na nôbarzi zapadlëch jôchach, mô leżnosć zetknąc so z arcydokôzama swiatowi lëteraturë, téatru ë filmu.

Ny, co lubią czëtac, a znają szmakë lëteraccziégò originalu niejedny z telewizyjnych adaptacjów wiedzë, że ożëwiony przez aktorów tekst nië wiedno szlachuje za tim, co czlowiek so przë czëtani wëobrózôł. Më téż wiémë, ëż niejedne sztëczy lëteraccziégò tekstu nie jidą nijak przelôżëc na „mowë” filmu. Film, wërosłi z téatru rozporzadzjów jinyma sposobama (chwôtama) artisticznyma jak lëteratura. Czasë takô adaptacjô wëchòdô ze zwëskë, a czasë ze szkòdą dlô lëteraturë.

Obrôz filmowi, choc tam sam nie wnikô w glëbszë szëchtë lëteraccziégò tekstu, mô równak jednë, wirazną „przewôgë” nad drëkowónym słowë. Dôwô możnosć przedstawić w czekawi ë skrótowni sposób (czësto na spodlim muzyczi) dludzië, dlô niejednych czëtënców sprzikrzónë bloczi narracyjné.

Czë to je przewôga? Zanolëzi z jaczi stronë zdrzec. Ko ne sławnë, rozcygnionë na wiele stron drobnégò drëku opisë blónów na niebie, zópódów słuńca abo brëzlowaniô morzô są „swiëtima”, arcykuńsztownyma skarbama swiatowi prozë. Ne „klimatë” są téż przez lubiënców ë znajôrów snôzi lëteraturë nôbarzi achtnionë, uwôżónë czësto za jedurnë wórtne sztëczy z całégò dokôzu. Ko w nich niejeden pisôrz poprówdze dobëł niedosyglë wizawë swojégò „rzëmiësia”.

Tak to je. Le chto mô dzys czas so opawac nyma „ambrozëjama” bëdównyma przez piesniôdzëjów, chtëż mô zdrowië wdichac wiëw nëch „klimatów” w pospiëwnym gónie cywilizacjii? Rzeczô do obezdrzeniô i przeczëtaniô je tëlë, że kòzdi — nie wiedząc kuli tracë — omiô nę pokrzësną strawë, gojidô dlô utlëkli dëszë ë niecierplëwie sygô po kulturë podôwóną we formie zgrabny telewizyjny pëlë.

Przë leżnosć: Bë so przëdało, żebë më ze swoją kaszëbską lëteraturą moglë tej sej do telewizji trafic. Zdrëlnik je dlô taczich mólëch, jak nasza, lëteraturów niebezpiecznym konkurentë. Le żelë o nę kaszëbiznë w telewizji jidze, jô, muszë so przëznac, jem pesymistą (abo, lzi rzec: realistą).

Pokrok w technice przekôzywaniô wiedzë ë kulturë je widzewny. Le o stôrowsiëcką, drëkowóną na papiôrze knëzëkë ni muszimë miec strachu. Prôwdac je możno, że za jaczis czas „zawalëpolëcë” tj. spasië słowôrze i encyklopedjë — dzys ëra ë bucha najëch zbiorów — ustapią swój pocëstny môl kómputerowi. Równak më z żëcégò wiémë, że dzes tam lëdze lôtają w kosmos a tuo cudzi mają po 300 mënut planowégò opôzdnieniô. È chòba jesz niemało te krizysowégò czasu uplënie jaż „osobisté” kómputerë z „nagrónyma” biblëjotëkama trafiają pod betonowë posowë zwëczajnych M-3 (dôj Bożë!).

Nigle, ale do te przinđze, tradycyjny zbiór knëżk ustawiony na zwëczajnych polëcach mdze ną nôwikszą ozdóbą naji jizdebëzi.

Wspomnienia belfra

Marek Cybulski

Wydawnictwo Morskie zaopatrzyło nas niedawno w zbiór wspomnień Zygryda Prószyńskiego pt. „Z belferskiego podwórka. Podtytuł: „Wspomnienia z Kaszub” i dedykacja: „Żonie Annie — nauczycielce oraz starym znajomym, kolegom i przyjaciołom, bojownikom o oświatę na Ziemi Puckiej” — od razu wskazują nam miejsce opisywanych wydarzeń.

Z Ziemią Pucką bowiem związał się autor od swego tu przyjazdu w 1931 roku. Początkowo pracował w Tupadlach jako nauczyciel, potem w Pucku jako kierownik szkoły, przez długi okres powojenny był zastępcą inspektora w powiecie puckim, by pod koniec swej aktywnej działalności zawodowej wrócić do szkoły. Autor ukazuje swoje wrastanie w ziemię, pierwsze kontakty z ludźmi, życie codzienne i towarzyskie wsi. Uczestnicząc w życiu miejscowych społeczności poznaje folklor i obyczaje, by później samemu włączyć się do pracy regionalnej.

Praca inspektora, której autor, czując się przede wszystkim nauczycielem, nie traktuje jako wyróżnienie, pozwala mu jednak na przebywanie we wszystkich zakątkach dawnego powiatu puckiego i poznanie nowych ludzi i sytuacji. Ukazuje nam więc Prószyński „nauczycielskie oryginały”, ludzi zakochanych w swojej szkole i wsi, ale także styka się z ludźmi podporządkującymi dobro szkoły i uczniów prywatnym interesom. Ten fragment wspomnień pozwala poznać trudne i skomplikowane czasy, gdy również oświatę dotknęły błędy i wypaczenia stalinizmu.

Nie element poznawczy jednak jest dla autora wspomnień, a także i dla nas, najciekawszy. To, co najbardziej pasjonuje, to żywi ludzie, ich życie i zachowanie. Jak w wielkim reportażowym skrócie prześledzić tu nauczyciele, uczniowie, mieszkańcy wsi. Czasem zaskakują nas ich reakcje (np. młodego człowieka, odmawiającego wyjazdu służbowego do szkoły w szczecińskie, by pozostać na Kaszubach), często sam autor swą decyzją powoduje nowe (np. jego reakcje na tzw. „długi wdzięczności”).

Istotnym walorem książki jest jej język — zwykły, niewyszukany, czasem kokietujący czytelnika, chociaż autor i redaktorzy nie ustrzegli się błędów.

Książkę Prószyńskiego na pewno warto przeczytać. I chociaż zmieniły się czasy i ludzie, została jednak ziemia i te wartości, dla których trzeba pracować. A dzisiejsi nauczyciele mogą czasem podpatrzeć pracę autora „Z belferskiego podwórka” i trochę z niej przenieść na własne.

Zygryd Prószyński, Z belferskiego podwórka. Wspomnienia z Kaszub, Gdańsk 1984 r.

Mapa kultów religijnych

Wojciech Wiła

Państwowe Przedsiębiorstwo Wydawnictw Kartograficznych wydało mapę przedstawiającą ważniejsze — jak się podaje w notce od wydawcy — a więc niektóre, ośrodki kultu religijnego w Polsce. Pokazanych rozmiarów barwna mapa składa się z dwu niejako części. Pierwszą — stanowi mapa właściwa, na której wiele miejscowości poparto ilustracjami obiektów sakralnych. Część druga, opisowa na odwrocie, daje natomiast zwięzłe informacje o poszczególnych miejscach kultu, oddzielnie dla Kościoła ka-

tolickiego oraz dla pozostałych Kościołów i Związków Wyznaniowych, tak chrześcijańskich jak i niechrześcijańskich. Zdaniem wydawcy mapa ma być świadectwem tolerancji religijnej panującej w dzisiejszej Polsce. Można na tę mapę, która niewątpliwie jest ewenementem, spojrzeć po prostu jak na suplement do książki „Z dawna Polski Tyś Królową” z roku 1983, gdyż tak w części opisowej mapy dotyczącej Kościoła katolickiego, jak i w nagłówku książki widnieją te same nazwiska autorek: s. Grażyny Jordan i s. Gizeli Gawlewicz. Warto przyjrzyć się mapie, zwłaszcza ośrodkom kultu z terenu kaszubsko-pomorskiego, w nawiązaniu do tej książki, w podtytułach określonej jako „Przewodnik po sanktuariach maryjnych”, jako że trudno sobie wyobrazić przewodnik bez mapy.

Otóż z naszego regionu na owej mapie odnotowano: Swarzewo, Żarnowiec, Wejherowo, Gdynię, Sopot, Sianowo, Żukowo, Gdańsk, Kartusy, Kościerzynę, Wiele, Pelplin oraz Piaseczno. Szkoda tylko, że wyróżnienie, jakie spotkało główne sanktuaria Pomorza: Wejherowo, Swarzewo, Wiele i Piaseczno, ominęło Sianowo, które nie zilustrowano tak jak tamte widokami kościołów odpustowych. Ale nie tylko Sianowo, także i inne z 126 koronowanych sanktuariów maryjnych — dziś jest ich już więcej — pozbawiono tej należnej im pozycji na mapie. Kryje się tu bowiem, nie tylko za tymi obrazkami, pewna dowolność i niekonsekwencja. Każdy wybór, a tutaj trzeba było oczywiście tego dokonać, jest pewną manipulacją i jeśli trzeba zobrazować pewien stan bez wyraźnego sprecyzowania kryteriów, wówczas mogą pojawić się wątpliwości, czy słusznego dokonano wyboru. Bo przecież np. czyż ośrodkiem religijnym ważniejszym od pomenonickiego kościoła w Gdańsku nie jest Sianowo lub swego czasu z powodzeniem rywalizujące z Częstochową Łąki Bratniańskie (Nowe Miasto Lubawskie)?

Oczywiście sanktuariów, zwłaszcza maryjnych, jest w Polsce znacznie więcej. Mapa informuje o ok. 167, w tym wyszczególnia wszystkie miejsca, w których dokonano papieskich koronacji. Natomiast np. według przywołanego „Przewodnika po sanktuariach maryjnych”, takich miejsc w Polsce jest 537 i nie jest to wcale liczba uwzględniająca absolutnie wszystkie, i tam dokonano pewnej selekcji. Mapa jednak z selekcją posunęła się jeszcze dalej i chyba zbyt daleko. Wprawdzie te najważniejsze dla Kościoła katolickiego sanktuaria mapa rzeczywiście ujawnia, to jednak brak mi tych mniej sławnych, ale uznanych na Pomorzu, jak choćby na Kociewiu w prastarym Lubiszewie, w Nowej Cerkwi, Płochocinach, Świeciu, a w pobliżu Chojnic w Zamartem, pod Gdańskiem w Matemblewie i Trąbkach Wielkich itd. Brakuje mi również w opisie Oksywia, też ostatnio sanktuarium, i to na pewno nie mniej godne zaznaczenia niż np. stare i ciekawe architektonicznie romańskie kościoły spod Szczecina. A i Puck mógłby się znaleźć na mapie, jako miejsce unikalnych pielgrzymek łódziowych rybaków morskich. I tak można by długo. Poza tym krótkie opisy dotyczące ośrodków religijnych Kaszub i Pomorza nie wyróżniają się niczym na tle innych. Jedynie Wejherowo ukazane zostało szerzej. W opisie przeznaczono mu nawet więcej miejsca niż np. Kalwarii Zebrzydowskiej, uchodzącej za drugie po Częstochowie sanktuarium w Polsce. Dostrzeżono jego rangę jako ważnego ośrodka kultu nie tylko w skali regionu, ale także zasługi w obronie interesów narodowych. Obok Piekar Śląskich i Gietrzwałdu Wejherowo jest bowiem wymieniane jako miejscowość, która poprzez swe funkcje religijne w sposób istotny wpływała na zachowanie tożsamości narodowej. W opisie dotyczącym Wejherowa jest też i wiadomość o kulcie kalwaryjskim Matki Boskiej Wejherowskiej, stale dowartościowywanym, skupiającym się wokół XVII-wiecznego obrazu, jak dotąd jeszcze nie koronowanego. Zapomniano natomiast wspomnieć, gdy omawiano Oliwę, o Matce Boskiej Oliwskiej z szacownego ferefronu.

Ciekawe informacje zawiera także część opisowa dla niekatolickich Kościołów. Okazuje się, że na naszym terenie istnieją główne skupiska w skali kraju oraz centra religijno-administracyjne dwu

Związków Wyznaniowych: Kościoła Chrystusowego w PRL, samodzielnego i niezależnego od jakiegokolwiek władzy kościelnej w kraju i zagranicą, oraz Nowoapostolskiego Kościoła w PRL, również samodzielnego i niezależnego. Pierwszy swe centrum religijne posiada w Sopocie. Drugi natomiast w Gdyni-Orłowie. Oba stosunki prawne z państwem uregulowały w latach 1982 i 1983, i w tych latach pobydowały swe domy modlitwy na naszym terenie.

W sumie ciekawa pozycja i, mimo kilku wątpliwości, pożyteczna, choć — moim zdaniem — większym świadectwem tolerancji byłoby, gdyby ukazała się nie jedna mapa, ale kilka, w tym i taka, która stanowiłaby nieodzowny dodatek do „Przewodnika po sanktuariach maryjnych”.

Marchowszczie Jezora

Bolesław Bork

Przodę, przed wiele lat, cziej Czorné Jezoro kole Wigodę bëło bez dna, a purtcę przez nę czorną wodę wëchòdali na swiat, Koleczkowsczie Jezoro bëło jedno. Na rzmie z jedny stroné jezora w wiòldzim bukowim lese mieszkòł bëłny Kaszëba, chtëren miòł dzesec fachów: łowił rëbë, sòł żetko, wëbiëròł pszczòłóm miòd, chodzył na jachtë, pòlił gromadë, wëròbiòł pace, garbowòł skórë, budowòł chëcce, miòł na żarnach makę i jesz lepił grònczi. Od tël robotë bëł tak zmachony, że jaż krzëwi. Bëł sòm. Nicht nie urëchtowòł mu chëczy, nie ugotowòł strawë, nie obszwòł ruchnów. Często i gësto chodzył głodny i obdzarti, choc biédny nie bëł.

Chcòł miec bëłną bialkë, ale żòdna go nie chca. Na drëdzi stronie jezora w Pieczowisku mieszka forsz gdowa, chtërna mu czasë pomòga w babszi robocë. Z Pieczowiska do zmarachowónégò kawalëra przë latach bëło sztëk drodżi. Gdowa czasë szpòsowa:

— Czëjbë të tak pobudowòł most przez jezoro, tej chto wié? Mòże jò bë ce co dzëń odwiedzà i z czasë së z tobà ożenił?

Chłop od dzesec fachów medಿತowòł: Sòm nie dóm radë, a chto mie pomòże? Często gòdòł sòm do se: — Chto mie pomòże? — Ròz, jak szedł do Borowi, kole Czòrnégò Jezora, tész tak so do se jiscyl.

— Jò pomògë! — rzekł chłos z tëlù.

Cziej sę obchlastał przestraszony, uzdrzòł pana w czòrnym ancuchu z cëlindrë na głowie.

— Komu pòn chce pomoc?

— Tobie skłopocali człowieku. Zbudëjë ce drogë przez Koleczkowsczie Jezoro do twoji brutczy, le nòprzòd muszisz podpisac ten papiór.

— Ale jò ni mogë pisac ani czëtac — odrzekł chłop.

— To nie szkodzy. Zrób pod pismë na papiórze trzë krzëze na znak, że sę zgòdzòsz.

— Zrobioné — rzekł chłop i swojà krëwią podpisòł cërogròf na swoję dësżë, o czym ni miòł pojëcò.

Purtk — bo on to bëł — wzał sę do robotë. Gdzes zeżorgòł wiòldzi celt i sòdł na meditacëją na Grańczny Gòrze, dze sę schòdają grańce Bojóna, Dobrzeżwina i Chwaszczëna.

— Spod ny górë bądë szlipòł piòsk — rzekł do siebie. I jak rzekł, tak zrobił. Nagarnął do celtu pòrë dobrëch fòr piòsku i stroną Bojóna, Swiniégò Rowu i Mrówczégò Zòmku szlipòł nen piòsk nad Koleczkowsczie Jezoro. Tu sèpòł damę przez wodë do z jedny, to z drëdzi stronë, jaż wëbròł wiòldzi rów, w chtërnym Kupcowie potemu wëbudowelë swoję chëccë.

Dama mia sę zënc westrzòdku jezora i robotë miòł bëc wnetk kuńc. Ale zdarzëło sę cos, co purtkowi popsëło szëczy. Z ostatnym ladënkë piòsku zatonał w Mëchlòczu pod Bojónë i wszëtchen piòsk wësèpòł mu sę w błoto. Tak powsta w bojańsczich błotach przë jezorze kopica piòsku nazwónò Garlëstò Góra, z chtërnym lëdzëska po dzys dzëń bierzà piòsk do murowaniò. Purtk zatonał w kale tak, że sòm nie

bél w sztedze sę z błota wëtrmolëc. Muszòł wezwac pieczelnëch retowników, chtërny go z mułu wëcygnëlë, ale przë tim mu szpërë połómilë. Dowłoklë go do Wigodë i przez Czörnë Jezoro spuscëlë do pieczelnëgo lazaretu, gdze sę baro długo lëczil. Przë tim szarmëclu purtk zgubil nen cërogròf.

Në damë przez Koleczkowsczië Jezoro dokuńczil sòm zmarachowóny kawaler od dzesëc fachów i tak skrócył drogë do se swoji brutce i drogë do slëbu. Namarachowòł sę przë tim bëlno. Od te czasu powsta dwa jezora marchowsczië: Marchowo Wiòldzië i Marchowo Mòlë, oddzelonë wążką smużką lądu, chtërna doprowadza przë purtkowi pomocë do szczescò dwojga lëdzy.

Zli purtk mò do dzys dnia wiòldzi gòrz o to, że jego robota nie przëniosła spodzëwónëgo profitu. Czësto sedzy na dnie te wikszëgo jezora i wcygò lëdzy żiwë do głëbi. Tego jezora wëstrzëgòjta sę lëdzëska! ■

Kaszubska frazeologia⁽¹⁴⁾

KASZUBY A ŚLĄSK CIESZYŃSKI Jerzy Treder

Ponad 700 frazeologizmów, czyli aż ok. 52 proc. tutaj rozpatrywanych posiada aktualnie w moich materiałach potwierdzenie tylko z Kaszub i Śląska Cieszyńskiego. Stanowi to ponad 7 proc. ogółu znanych w kaszubszczyźnie wyrażen i zwrotów w liczbie ok. 9,5 tys., wśród których powiązania z innymi gwarami zajmują ok. 33 proc. Za fenomen brać można to, że tyle wspólnego tkwi we frazeologiach systemów językowych, które nigdy ze sobą bezpośrednio sąsiadować nie mogły, bo przecież Kaszuby leżą na pn-zach. peryferii polskiego i słowiańskiego obszaru językowego, Cieszyńskie natomiast na peryferii pd-zach. Polski, na pograniczu z Czechami i w sąsiedztwie Łużyc. Pamiętać by też trzeba, iż w przeszłości obie gwary długo rozwijały się w znacznej izolacji od ogólnej polszczyzny, bo w otoczeniu językowym obcym, niemieckim, ulegając Niemczyźnie w niedużym stopniu, zwłaszcza w zakresie leksyki.

Pośród tych 700 frazeologizmów znajduje się ok. 340 tożsamyh i ok. 360 wariantowych. Fakty o strukturze porównań są częste, stanowiąc ok. 46 proc. całości, a więc blisko 340 frazeologizmów. Ogólnie i wstępnie pisałem o tym w artykule *Z idiomatyki frazeologicznej Kaszub i Śląska Cieszyńskiego* (w:) *Z problemów frazeologii polskiej i słowiańskiej* I, red. M. Basaj i D. Rytel, Wrocław 1982, s. 125–133. Niektóre liczby i przykłady zostały zweryfikowane przez dalsze analizy (wtedy zawierałem NKP i nie wyzyskiwałem osobiście Ond i Wal). Tutaj nie będę powtarzać przykładów w artykule trafnie zakwalifikowanych i nie będę przytaczać — dla oszczędności miejsca — wspólnych z językami czeskim i słowackim, gdyż te zreferuję osobno. Pomijam także fakty związane z wierzeniami i zwyczajami, przedstawionymi w złożonej do druku książce. Aby ukazać ewentualną „głębię” ogólnie licznych podobieństw, wskażę na reprezentatywne podgrupy znaczeniowe, np. fauna, rolnictwo, wierzenia, czego nie uczyniłem dla zbieżności kaszubsko-kociewskich, ponieważ tam bardziej mnie interesowały dalsze zróżnicowania natury geograficznej. Dla oszczędności liczę tylko raz fakty typu *nosë chmurë orac* 'zadziierać nosa' Sy III 333 i *nosë obtoki orac* CeyS II 20: *ciesz. nosym orac po księżycu* Ond NKP II 646, aczkolwiek dać by to można przy częściach ciała, kosmografii czy czynnościach rolniczych.

1. Z szeroko pojmowanej tematyki „przyroda” wyrosło ok. 190 frazeologizmów. Elementy terenu tkwią w *chłop jak góra* Sy II 38, Ond NKP I 261, *plëwac jak kam* 'zle' Ex, Broda NKP II 969 i *jidze drego, jakbë chto z kamienia wodë żłł* Lor I 155, Rop NKP II 13, gdzie też *ciesz. idzie to jakby z kamiynia wodë cishòł* Ond jako war. histor. (1776); posiada on na Kaszubach war. z *kamienia wodë wëcëskac* 'powoli pracować' Sy II 125. Ogólnie z wodą łączy się porów. *on tak wëdzdzi, jakbë wodë zamacëc ni mógł* Rop, Cinciała i histor. (1806) NKP III 739, z kolei z wiatrem np. *procemku wiatru chłop nie szczü nie idzie pod prąd* Sy V 230 : *ciesz. proti wiatru nie idzie jsac obok do wiatru sie nie jszczy* NKP III 654, a także *kasz. plwac na wiatro Rop* : *ciesz. pluc proti wiatru* NKP II 955, gdzie histor. *Kto pluje pod wiatr, brodë sobie tylko opluje* (1894) i tegoż wariant kaszubski. Z ciałami niebieskimi wiąże się *wëdzdzec jak kszëc* 'mieć wielką i lysą głowę' Ex: *ciesz. wyglondò jak miesionczek w pełni* Ond 224 i lit. Skor. I 364 oraz *tysy jak miesiąc w pełni* Pauli NKP II 237, a także: *stincë wama zazërò ju w slòdki, a wa jesz leżita* 'o późnym wstawaniu' Sy V 70: *ciesz. gnić, aż mu stòncy do żici zajswici* Ste 85. Z kolei ze zjawiskami atmosferycznymi wiąże się m.in. *huknëło jak grzem* Ram 51 : *ciesz. huczy jak hròm do banie* NKP I 789.

Kilka (8) frazeologizmów wyrosło z określeń i przemijania czasu czy oznaczeń pór, np. *chtos nie mdze miòł czasu umrzec* 'stałe się spieszyc' Sy I 161, NKP I 361, *długi jak rok* Sy I 218 : *ciesz. długi jak tydzin* NKP I 440; o bardzo krótkim okresie mówi się: *to je tak dalek jak od dwanòsti do półnia* Rop NKP I 410 : *ciesz. od dwanòstë do połëdnia obok od połëdnia do dwanòstëj* (o babim lecie) NKP I 45. Do zachowania spokoju, rozłożenia pracy nawołuje zwrot: *witro je (mdze) tész dzën* Ex (por. *witrowac* Sy VI 163), NKP I 880.

Kilkadziesiąt (20) faktów zainspirowały obserwacje świata roślinnego i owoców, np. *chłop jak z marchwi gòdz* 'słaby' Sy III 38, 50 : *ciesz. chłop jak z bobu gajdy* NKP I 262, *zòtti jak marchew* 'o cerze' Sy VI 274, NKP III 966, *komus na głowie orzechë lëbrac* 'znęcać się nad kimś' (pn) Sy III 336 = *ciesz. z łuskać* NKP II 740, Ond 119, *kwasny jak szczur* Sy V 230, NKP II 263 i *kwasny jak eltka* (= dzika jabłoń) Sy I 275 = *ciesz. kwaśny jak pònka* NKP II 263 z war. *kasz. kwasny jak lasówka* (Wejherowskie) Sy II 333. Tutaj ponadto wymienię *chudi jak kij* Ram 56 = *ciesz. chudy jak patyk* NKP I 295 i *miec nos jak sękaty krziwolec* (= laska) = *ciesz. mieć nos jak sękaty krziwak* NKP II 642.

Najwięcej, bo aż ok. 150 frazeologizmów zrodziło się z obserwacji fauny i przeniesienia ich na człowieka. Z domowych zwierząt najczęściej pojawia się w nich krowa i cielę (ok. 15), koń (13), pies (11), kot (10), byk i wół (9), koza i kozioł (7), świnią (7), osioł (2), np. *leżec jak krowi ogón na gnoj* Sy III 294, NKP II 300, Ond 116 z war. skróconym *leżec jak krowi ogón* Sy II 366, *miec oko jak Walkuszowa krowa slòdk* 'zaczarwienie' (Sierakowice) Sy V 70 = *ciesz. mo oko jak Moroniowa krowa rzic* Ond 128, *wëpasti jak klepa na sëchim rzësku* 'o otyłym' Sy IV 372 = *ciesz. wypasióny jak krowa na suchym ścierniu* NKP II 828, Ond 225, *miec brzëch jak celnò krowa* Sy I 77, NKP I 209, *wëdzdzi, jakbë sę celëc chcòł* 'o otyłym' Sy IV 48 : *ciesz. chodzi jak cielný (cielnò krowa)* NKP I 278 = *kasz. chodzi jak celny* Sy II 44, a por. tutaj: *to bë sę człowiek wnet ocelit* 'o zniecierpliwieniu' Ex i *to bë mógł rëchli młodëch dostac* Ex = *ciesz. człowiek by rychli młodych dostòł* NKP I 377, Ond 44, 200, *bic kopëtami jak kón* Sy I 110, NKP I 87, Ond 23, *jidze jak kuczerski* (= wyjazdowy) *kón* Sy II 287 = *ciesz. idzie jak kolasowy* (paradny) *kón* NKP I 278, Ond 32, 79, *miec kónskóm moc* Ex, NKP II 579, III 194, Ond 160, *narobic sę jak kón* Sy VII 184 pod *nóta*, NKP II 1056, *nëkak kogo jak psa* Ram 120, Ex, Ond i histor. (1894) NKP I 702, *gonic jak pies za sëką* 'nie odstępować kogo' Ex = *ciesz. zganio jak...* NKP I 702, *leżec jak zdechli pies* CeyS II 20, Lor I 128 : *ciesz. leży jak zdechliina* NKP II 300, *chodzëc jak kot po bagnie* 'cicho' Sy I 14, Ond 32 z war. *jic jak kot*

po smiotanie (Miłoszewo) Sy II 218 (a por. wleźć jak kot Maj 117); oczę się komu tiszczą jak pijkom Rydz I 146 : ciesz. *świycóm* się mu oczy jak kocurowi NKP II 720 = kasz. oczę się komu *świeć* jak kotowi Sy III 310, V 198 i histor. oczy mu się *iskrzę* jak kotu (1894), dostac, co kot *pióskę* zagrzebót 'nie' Sy IV 241 : dostac, co kocur zagrzebót NKP I 474, Ond 54, blészczęc się (buczec się, dąsac się, kalkuniec się, munić się, rożęc się, sępolęc się) jak bik (bula) Sy I 39 : ciesz. boczy się jak bodlawy byk NKP I 121, Ond 21, miec buli kark 'o grubej szyi' Ex, Ond 210, jak wędzają biczka 'nigdy' Sy I 39, III 86, Ond 54 i histor. (1894) NKP II 496, z czegoś bę się kuza usmia 'o śmieszności czegoś' Ex (to bę się markotka śmiała Sy III 51) : ciesz. koza by się tymu śmiała NKP II 175, por. pot. koń by się *uśmiał* Skor I 344 i kasz. war. to bę się nawet w Zółesu psę *smniał* (Brusy) Sy V 106 i malb. gapy się *śmieją* ŁegM 218, podnies ogón kozę, tej się *uźdrzisz*, co pod nim je Sy II 222 : ciesz. podziwiew się kozie pod ocas a bydziesz wie-dziół NKP I 549, smierdzęc jak kozel Sy V 107 = ciesz. smerdzi jak cap Ond i histor. (1564) NKP III 460, łakomy jak swinia Ram 87 : ciesz. ma apetyt jak swinia Cinciała NKP I 24, szabotóny (uzobotóny) jak swinia (prosię) CeyS II 21, Sy VI 167 i ciesz. ufultany (zamazany, utylany) jak swinia NKP I 203, ręc jak nieobutó swinia Sy IV 309, Ond 180, NKP III 115, gdzie war. kasz. piszcze jak swinia Rop pod wpływem piskac jak kura, urzasnąc się jak prosię Sy IV 172 : ciesz. wylynkany jak prosię NKP II 302, z kims gadac, to jakbę z ostem gadac przez telefon 'nie móc się porozumieć' Sy V 341 : ciesz. pomów se z ostym przez telefon NKP II 541.

Rzadziej czerpie się obrazy z żyjących na wolności zwierząt, mianowicie o niedźwiedziu (3), zającem i wilku (po 2), lwie, sarnie, lisie, tchórz (po 1) i myszy (2), np. *chodzy* jak *miedwiedz* po lodze Sy III 155, Ond 32, NKP I 802 z war. *chodzy* jak po lodze Ram 94, *lęklęwi* jak *zajc* (pn) Sy II 349 = ciesz. *bojaźliwy*... Wantuła i histor. *lękliwy* jak... 1645 NKP II 302, *bojec* się jak *wilk* ognia Sy I 54, II 299, VI 153, NKP II 691 (z lit. *bać* się jak ognia), *chłop* jak *lew* Sy II 38, NKP I 261, *chodząc* jak *sarna* po *lędźnie* 'ostroźnie' Sy V 18 : ciesz. *chodzy* jak *nimocno* *sarna* po *ścierniu* NKP II 279, Ond 33, *stojęc* *ę* *lajac* jak *lęs* na *gównu* (Kępa Swarzewska) Sy II 357 : ciesz. *szczeko* jak *pies* na *miesionczek* NKP III 376, *smierdzec* jak *twórz* Sy II 121, Sy V 107, 415, Ond 186 i histor. (1894) NKP III 513 i *czeskie* *smrdēt* jak *tchoř* Szcz 563, (bęc) *zmokli* jak *męsz* w *sześniocy* Sy III 101 i *moknąc* się jak... Sy V 253 = ciesz. *spocony* jak *mysz* w *pologu* Broda i histor. 1894 NKP II 975.

Gdy *chodzi* o *ptactwo*, to z domowego pojawia się kura (12), kaczka (3), paw i kanarek (po 1), a z ży-

jącego na wolności bocian (8), sroka (4) i wróbel i żuraw (po 1), np. *chodząc* jak *umokłó* *gula* i *wędzrec* jak *umokłó* *kura* Sy III 101 : ciesz. *chodzy* jak *zmokłó* *kura* NKP I 281 i war. *chodzy* *wēmokli* jak *kura* na *deszczu* Sy VI 73; *gdōcze*, *jakbē* *jaje* *zniosła* 'o kobiecie zrzedzającej' Sy III 246, NKP I 607, gdzie też histor. (1621), *pisac* *kurzim* *piórem* po *psym* *gównie* 'o analfabecie' Sy IV 264, NKP II 941 z war. *pisac* *kurzim* *piórem* po *gównie* Sy II 301, *prōwda*, *jakbē* *kurē* *szczałē* Sy V 229 : ciesz. na *twój* *rozkaz* *kurzy* *jszczóm* NKP III 74, *nie* *rób* się *kaczka* [jak *jes* *kōczorē*] 'co *pleciesz*' Sy II 116, 117 : ciesz. *nie* *rób* się *kozubym* (= stara koza) NKP II 182, histor. *pēsny* jak *pōw* Ram 140, NKP II 1163, gdzie też histor. (od 1671 r.), *spiewac* jak *kanark* '?' Sy V 137, III 47, NKP III 466, a do znaczenia por. *spiewac* jak *kanarki* 'wygadać wszystko' Necel Krwa- wy sztor 149, *miec* *nogi* jak *bocōn* CeyObr 17, CeyS I 9, Lor I 67, Sy I 46, 354 pod *grajdła*, NKP II 630, por. ciesz. i z ok. Nidzicy SGP II 323 i war. kasz. *miec* *nogi* jak *zōr* CeyS I 9, *wēpadnāc* *sroce* *spod* *ogōna* 'być narwanym' Sy V 143, Ond 224.

Ze *świata* *owadów* dominuje wesz (14) i mucha (5), a nadto pojawia się mrówka (3), pluskwa i osa (po 1), np. *brzēch* *cwiardi*, *zēbē* na *nim* *mōgt* *wesz* *zabic* Sy I 77 i *najadi*, *zēbē* *mōgt* *pchtē* (wesz) na *brzēchu* *zabic* Sy II 97, V 315, Cinciała (i analogiczne Bugiel) NKP I 857, Ond 197, *miec* się jak *wesz* w *kabōce* — jako odpowiedź na pytanie: *jak* się *mōce*? Sy II 115, Cinciała NKP II 451, *wēmoczk* *wēdrzi*, *jakbē* *on* *plēskwē* *zērōt* Sy VI 73 obok *jadac* *sēszone* *muchi* 'być chudym' (Przetoczyno, Luzino, Szemud) Sy III 134 : ciesz. *wyglōndo*, *jakby* *sūszone* *muchy* *jodoł* obok *wyglōndo*, *jakby* *świyrzki* *gryz* NKP III 798, *kręcęc* się jak *mucha* w *latarni* 'bez celu' Sy III 134 : ciesz. *gōni* jak *mucha* w *latarni* NKP I 702, *miec* *jadowitē* *zādło* Ex (por. *baba* z *jadowitim* *zādłem* 'złosiwa' Sy VI 279) : ciesz. *mo* to *zōndetko* *ale* *jadowite* NKP III 939, *lędzy* jak *mrów-ków* 'dużo' Sy V 125, 326, NKP II 543 i kasz. *teho* *je* jak *mrówk* CeyS I 13.

Z *gadów* i *ptaków* najczęściej w tej frazeologii pojawia się *żaba* (5), np. *wēdrzi*, *jakbē* *zabē* *jōdōt* (i *zērōt*) 'o chudym' Sy VI 261, 314 : ciesz. *wyglōndo*, *jakby* z *kocurym* *zaby* *jodoł* NKP III 798, Ond 224, to je *ōws* *zabie* po *uszę* 'mały' Sy III 350, Ond 62. Zwrót *miewac* się jak *rek* w *torbie* 'jak nagi w po-krzywach' Sy IV 315 jest war. wobec ciesz. *cieszmy* się jak *raki* w *kobieli* Cinciała NKP I 323.

Ryby występują w trzech frazeologizmach, np. *chodząc* (i *wēdrzec*) jak *flundra* (i *szlundra*) 'o, zaniedbanej kobiecie' Ex (por. *rozwołkō* *flundra* Sy I 284) i Sy V 271 pod *szlūncā*) : ciesz. *chodzy* jak *flōndra* (i *cōnda*, *szlōndra*) NKP I 276, Ond 18. (Cdn.)

KLEKA * Z ŻYCIA ZRZESZENIA * KLEKA * Z ŻYCIA ZRZESZENIA * KLEKA * Z ŻYCIA ZRZESZENIA

WYSTAWA Druków Pomorskich

Poza oficjalnymi imprezami tegorocznych Dni Kociewia, niejako w ich cieniu, Starogardzkie Centrum Kultury zorganizowało wystawę zbiorów znanego starogardzkiego filalisty i kolekcjonera, Cyryla Jakubusa — tym razem były to druki pomorskie i prasa, poczynając od 1763 roku aż do lokalnych gazet z pierwszych miesięcy okupacji hitlerowskiej. Wśród rzadkich druków dwujęzycznych kwidzyńskiej oficyny Jana Jakuba Kantera (od 1763 r.), Gottlieba L. Hartunga z Królewca (od 1772 r.) i innych na wystawie pokazano nieobecne w bibliotekach „Westpreussische Frag und Anzeigungs-Nachrichten...” (1781 r.) i druki zarządzeń władz pruskich, korespondencje kurii pelplińskiej itp. Należy sądzić, że starogardzka wystawa zapoczątkuje prezentację innych wartościowych kolekcji prywatnych, których tu nie brakuje.

R. Szwoch

W dniach 2–9 maja w Antoninie, woj. leszczyńskie, odbyło się ogólnopolskie Forum Folklorystyczne „Tradycja Ludowa jako inspiracja sztuki”, w którym udział wzięli m.in. Stanisław Pestka i Jerzy Kiedrowski. Podczas rekonstrukcji słynnego 12,5 metrowego pieca w gdańskim Dworze Artusa dokonano odkrycia nieznanego dotąd XVI-wiecznych ornamentów płyt z scenami biblijnymi. Gdański ZBOWiD i Muzeum Stutthof zorganizowali sesję na temat ruchu oporu w obozie Stutthof.

PRZYPOMINAMY

Oddział Gdański Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego prowadzi sprzedaż książek i katalogów haftów kaszubskich w sklepie przy ul. Szewskiej 4/1 oraz wysła (zamówione listownie) za zaliczeniem pocztowym; można także zabezpieczyć sobie otrzymywanie

każdej nowo wydanej pozycji poprzez złożenie zgłoszenia zapotrzebowania na odpłatne odbieranie nowości. W bieżącym roku nakładem Zrzeszenia ukazano się znacznie mniej książek, tym cenniejsza jest możliwość nabycia kilkunastu interesujących tytułów, których nakłady są już na wyczerpaniu. Sprzedają książki kaszubsko-pomorskich prowadzą także w swoich siedzibach oddziały Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Pucku i w Chojnicach oraz na terenie Kaszubskiego Parku Etnograficznego we Wdzydychach. W sklepie Zrzeszenia przy ul. Szewskiej, w biurze redakcji a także drogą korespondencyjną można nabyć szereg numerów „Pomeranii” z ubiegłych lat. W sklepie również można nabyć jeszcze medale wybite w Brazie: Florian Ceynowa (300 zł) i „Zapis Mestwina” (400 zł), a także medal 65 rocznicy zaślubin Polski z morzem z wizerunkiem na awersie Antoniego Abrahama (3.000 zł). W sklepie są też wytwory sztuki ludowej, w szczególności hafty kaszubskie i kociewskie (różnych szkół), ceramika z warsztatu Necla z Chmielna, rzeźby oraz pamiątki regionalne. (w.k.)

Ks. Leon Kuchta
**Z kaledōrza przēsłowi
o swiętich
Miesąc séwnik
zwōny téż wrzesień, zéptember**

28. IX WILĚJÓ SWIĘTÉGO MICHŌŁA

Jak nie odleć pōszczci do Michała —
Do wilěji zěma niestałō.
(Wilěji — jidze o Bożē Nōdrodzeniē).

Pōszczci przed Michōlem odlecałē,
Ostri bādze grēdzēń cali.

**29.X POSWIĘCENIĚ KOSCOŁA SW. MICHŌŁOWI
ARCHANIOŁOWI**

Jaczi Michōł
Taczi zymk.

Jak na Michōła obrodzā zōłędze,
Wiele sniegu w zěmie bědze.

Noc widnō na Michała —
Zěma bādze dugo warała.

Na Michała
Jachtōrzowi chwała.

Od swiętého Michōła Aniōła
Trābka jachtōrza do lasa woła.

Chto nie zasōł
Na swięti Michōł —
Z gōdu bādze zdichōł.

Swięti Michōł
Kopice na szopę pospichōł.
(Jidze o potrōw).

Swięti Michōł
Grańce rozpichō.
(W nen dzěn mōgi pasc běłō poza grańcama swěgo pola).

Swięti Michōł
Kapusť w beczkę upichō.

Michōł od pszczōł
Ostatny plōster miodu wzał.

Na Michōła
Rěbōcě łowiā wěgorza.
(Ułowioně wěgorze solā, a jedzā dopiěrku w zōpustě
obczas czestě, na jaczi je zszliwōny niewōd).

Przōdě o Michalě
Służbě najimalě.

Na swiętého Michōła rzādzěłě dzěwczci,
Na Mōrcěna parobczci.

Michōł
Lědzy wěpichō.
(W nym dniu cōlemałō so kuńczěłě umowě ze służbā rolną
abo umowě pachtarzczě).

Swięti Michōł
Do szkołōw wěpichō.
(Od tě dnia przōdě zaczino so uczba w szkole po dwu-
niedzělněch feriach, dōwōněch na wěbiěraně bulew).

Michōł czichōł, —
Z gōrě (z pieca) babě spichō.
(Czichaniě — przěgōdka do wiatrōw. Jesěń, po zbiorach
je czasě wrějarzeniō, rōjbōw i zdōwaniō).

Mōrcěn do Michōła:
— Upominōj Michōłku,
Bo jak jō mdě upominōł,
Niejeden bādze głōwě miechem okriwōł.
(Przestrzěg, zěbě na Michōła wěbrac bulwě, bo na Mōrcěna
mdě zěmno. Wěbiěrōczowie jeden rōg miecha wpichěł
w drědzi, a těj go wsōdzelě na głōwě. Miech zakriwōł těż
plecě, tak ě mōgi wěbiěrac bulwě nawetk w deszcz).

Mōrcěn do Michōła:
— Michōłku, Michōłku!
Poněkni tich niedbōłkōw (wěbiěrōczōw),
Bo jak jō rěszě,
Tej jich sniegěm poastrzě.

Bożiczku Bożi!,
Co dzěń to gorzi!
(O pogodze po Michōle).

Po swiętim Michale
Pōn Bōg wszědě daje.
(Jidze o zbiorě z pōłōw, ogrodōw ě sadōw).

Po swiętim Michale
Niech niěht od swěgo nie daje.
(Nie dawac běděu futru ze stodolě abo mitě, le někac je
jesz na pażědně — pażěc).

Jak grzěmot po swiętim Michale,
Sěj zěto chōcbě w kale.

30.IX SWIĘTI HIERONIM

Na swiętého Herōnima
Je deszcz, abo go ni ma.

Pisowně kaszubskā zweryfikowal
EUGENIUSZ GOŁĄBK

● Oddział Słupski zorganizował cykl „Rozmów o Pomorzu”; 27.06 rozmawiano w obecności W. Kiedrowskiego i S. Pestki o „Pomeranii” ● 50-lecia pracy pedagogicznej gratulowali Pawłowi Tarnowskiemu, wręczając pamiątkowy medal, koledzy z Prezydium ZG Zrzeszenia ● Zrzeszenie przystąpiło do wybijania medalu Jana Karnowskiego; medal winien być w sprzedaży w roku przyszłym, w setną rocznicę urodzin tego wybitnego poety, publicysty, historyka i działacza z kręgu Młodokaszubów; cena medalu będzie niestety wysoka, ok. 1.100 zł, chociaż utrzymana jedynie w wysokości kosztów wybijania medalu ● Od kwietnia br. koszty druku „Pomeranii” wzrosły o ponad 85 proc. ● W pierwszym

półroczu przyjęto do Zrzeszenia ponad 300 nowych członków ● W III Przeglądzie Piosenki Marynistycznej we Władysławowie pierwszą nagrodę otrzymał zespół wokально-instrumentalny ze Studium Nauczycielskiego w Gdańsku-Wrzeszczu, druga — zespół „Młodość” z Pelplina, trzecia — Tadeusz Masowa z Sopotu; w przeglądzie wzięło udział 96 uczestników, w tym soliści, zespoły wokalne i wokально-instrumentalne ● Regionalny Teatr Dramatyczny z Łuzina otrzymał nagrodę Główną XIII Konfrontacji Teatru Amatorskiego woj. gdańskiego za sztukę „Śpiący wojsko” Bernarda Sychty ● W X Ogólnopolskim Festiwalu Pieśni o Morzu laureatem nagrody głównej, Statuetki Złocięstego Żagla, został Chór Mieszany

Schola Cantorum Liceum Ogólnokształcącego w Kurowie, pierwsze miejsce i miniaturę Statuetki Złocięstego Żagla w kategorii chórów mieszanych otrzymał Lubelski Chór Kameralny, w kategorii chórów żeńskich — Chór żeński Państwowego Liceum Państwowego Liceum Muzycznego we Wrocławiu, a w kategorii chórów męskich — Chór Męski z Tczewa; w festiwalu uczestniczyły 22 chóry z różnych stron Polski ● W ogólnopolskim konkursie na utwór dramatyczny o tematyce wiejskiej, w kategorii widowisk dramatycznych opartych na ludowych obrzędach i zwyczajach II nagrodę otrzymał Bolesław Bork z Bojana za „Kaszubski rok obrzędowy”.

PLAN IMPREZ W 1986 R. OPRACOWANY

Już w czerwcu Prezydium ZG ZK-P opracowało plan pracy i imprez na rok 1986, który przedłożony zostanie do ostatecznego zatwierdzenia Zarządowi Głównemu.

Z tzw. imprez stałych Zrzeszenia przewiduje się:

- luty — uroczystość wręczenia Medalu Stolema; organizuje klub studentów „Pomerania”
- marzec — Dni Kultury Pomorza — szeroki wachlarz imprez organizowanych przez poszczególne oddziały; w ramach Dni Klub „Pomerania” organizuje szkolny konkurs wiedzy o Pomorzu a redakcja „Pomeranii” promuje kolejnych laureatów „Skry Ormuzdowej”
- maj — uroczystość związana z 100-tną rocznicą urodzin Jana Karnowskiego; główne uroczystości w Brzuchach przygotuje z ramienia Zrzeszenia Oddział Bruski
- czerwiec — XIII Kaszubsko-Pomorskie Spotkania Publicystyczne (organizuje redakcja „Pomeranii”)
- czerwiec — Konkurs Recytatorski Prozy i Poezji Kaszubskiej w Chmielnie; główny organizator: Oddział Chmielński
- czerwiec — Konkurs „Ludowe Talenty”; główny organizator: Oddział Gdański
- czerwiec — Spotkania Nadwiślańskie w Tczewie; z ramienia Zrzeszenia współorganizuje Oddział Tczewski
- lipiec — konkurs starych łodzi rybackich „Kaszëbszi bôtë” (Oddział Jastarnieński, Władysławowski i Pucki)
- sierpień — Turniej Gawędzarzy Lu-

dowych Kaszub i Kociewia we Wiclu; współorganizuje Oddział Karsini-

- wrzesień — XVI Kaszubsko-Pomorskie Spotkania Wdzydzkie (Oddział Kościński)
- listopad — VII Spotkania Pełpińskie (Zarząd Główny)
- listopad — III Konkurs Recytatorski im. Franciszka Fenikowskiego w Żukowie (Komisja Kultury ZG).

W ramach imprez związanych z XXX-LECIEM ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO:

- październik — koncert galowy zespołów folklorystycznych w teatrze „Wybrzeże” w Gdańsku
- listopad — sesja naukowa na temat dorobku ZK-P
- listopad — wystawa wydawnictw ZK-P (w Gdańsku i terenie).

Są to wprawdzie imprezy organizowane często bezpośrednio przez oddziały, lecz będące, z uwagi na ich wagę, pod pieczę naczelnych władz Zrzeszenia. Wspomniane oddziały i te nie wymienione realizują oczywiście na swoim terenie daleko więcej spotkań i imprez.

Prezydium ZG poczyni starania, aby odbyło się wzorem ostatnich lat spotkanie młodych społeczników, spotkanie prezosów, a także środowiskowe spotkania aktywu Zrzeszenia z przylegających do siebie oddziałów. Na pewno odbędą się trzy plenaria zebrania Zarządu Głównego (luty, maj i listopad), a 6 grudnia przewidziany jest sprawozdawczo-wyborczy X Zjazd Delegatów ZK-P.

O programie wydawniczym, fundacji tablic, pamiątkowych medalach poinformujemy przy innych okazjach. (wk)

Dary

Cieszymy się bardzo, że wciąż wiele osób i instytucji pamięta o kłopotach finansowych „Pomeranii”. Dary pieniężne napływające do Zarządu Głównego Zrzeszenia przyjmujemy jako wyraz żywego zainteresowania i serdecznej troski naszych przyjaciół i sympatyków. Za te dowody pamięci gorąco dziękujemy.

Do chwili zamknięcia numeru (20 lipca) dary przekazali: J. P., Skarszewy — 1.000 zł; Julian Zaborowski — 5.500 zł; Henryk Figalski — 1.000 zł; Maria Kłińska, Toruń — 140 zł; Henryk Galus — 850 zł; Jerzy Trawicki, Żukowo — 200 zł; Mirosław Kalkowski, Starogard Gd. — 280 zł; Ryszard Cimaszka, Gdańsk — 500 zł; Marek Latoszek, Gdańsk — 600 zł; Justyn Narkowicz, Jastarnia — 2.000 zł.

Natomiast Wojciech Bienkowski z Sopotu, Irena Fenikowska z Warszawy, Ryszard Karwacki z Gdańska, X. Franciszek Wołoszyk z USA, Natalia Gołębska z Gdyni, Jaromira Labudda z Tłuczewa, Tadeusz Lipski z Wicla zrezygnowali z autorskiego honorarium, co spowodowało zmniejszenie naszych wydatków łącznie o sumę 13.624 zł.

Wszystkim ofiarodawcom jeszcze raz serdecznie dziękujemy. Dary można przekazywać na konto Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. PKO I O/M Gdańsk, Nr 19510-5890-132.

Dziękujemy również Bogusławowi Brezie i Tomaszowi Szymańskiemu za pomoc przy przebieganiu papieru, Zarządowi Oddziału Gdańskiego ZK-P za fundowanie nagród książkowych, które otrzymują czytelnicy za prawidłowo rozwiązane krzyżówki i fiurofaje.

Fiurofaj 9/85

Gladno: 1) ...Targ, ...Dwór, ...Sącz, 5) dębrny 6rt szportu, 9) krocę, kule do trzemonie bulw 6 wręków, 10) czyż, cuch, 11) miałzi riz, 13) Spółdzielnió Kóików Gbursziéh, 14) do makowiég kucha, 15) porządk, przémusz, 16) chłop-szié miono, 17) tunc, 18) t6 6 j6, 19) móli kam, 22) ...z Milo, 24) sprawunk, 26) rukoc, 28) móli kosz, 30) miesac dlo mulków, 31) dzéi skarni, 33) smroczo, 35) f6fel, d6fel, fajc, 39) b6lni dzéi nodzi, 41) gr6blec, 42) b6lni kol6rz pol-sczl, 44) tam trzim6 s6 gburszié n6rz6dza, 46) miono z element6rza, 47) chitri jak... 48) kubaba abo anielszié... 49) czasem pojawi s6 w oku, 50) „on” le u zwi6rz6t, 51) sz6tora, 52) z6adk pt6szka.

Gr6dko: 1) gr6ck6 bogini6 dob6c6go, 2) naczk, syneczni, 3) zwart do star-sz6ch ledzi, 4) kab6t, l6tewka, w6ps, 6) orz6, 7) do ob6c6skoni6go rut6w w oknach, 8) sz6mot, piana, 9) t6z pom-sta le kroc6, 10) ta zab6wka bawia s6 i dorosli chlopi, 12) cz6rny pt6ch, 14) chlopszé miono, 15) w6sat6 r6ba, 17) cziesze, 19) sz6czk kucha abo jeden z paczci kuszk6w, 20) kor6to, 21) miono Karnowszi6go, 23) 6at6b6 w sercu... 25) st6p, 27) pt6ch abo n6zw6sko kasz6bszié, 29) nakruz6w6n6 sz6tk sz6to-fu, 32) c6ch, prag, 34) ...to je umarnac, 36) jeden ze zm6g6w (= zmysli6w), 38) maki, 37) b6dli6cy pitk, l6chi wino, 38) na g6lowie motorziste, 40) part, czad, 42) dlo konia, 43) pieni6dz, 45) m6lo Urszula, 46) c6g6nszié miono, 50) w6praw6n6 „si6”.

B6cz6ta: L6ter6 w rutkach oznacz6-n6ch cyframa w ni6wnym prawim n6rc6 ustawion6 posobic6 od 1-33 utworz6 z6w.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 8/85

P6ziomo: posag, Łupawa, orszak, kominiarz, droga, „T6cza”, mazur, Nec-lowie, skrzypce, Negri, miara, sosna, Karlikowo, „Wiarus”, Izydor, aleja. Pionowo: psalm, sp6dnica, grota, Żukowo, badacz, krakowiak, Zamczysko, Dunin, teizm, ankra, rzeka, Kamienne, godnik; Sambor, Rosja, Oliwa. Hasło-rozwiazanie: R6za Ostrowska — Wyspa.

Rozwiązanie fiurofaja z nr 8/85

Gladno: żużac, Busko, Halinka, Iław6, ralod, Rumunia, klapa, Nepal, kajak, sw6rno, latosy, riwka, cel6ta, szn6ra, norka, wczas, labas, marzeja, d6nka, t6lp6, Radunia, r6kła, chaja. Gr6dko: ż6ltk, 6gaga, ch6ra, gl6mza, znanka, baran, szlap, ordel, lawren6, pars6ta, Estonia, Austria, koran, jiw6r,

klasa, ogr6dk, krewny, w6der, Zenek, smara, latac, balka, sz6ca.

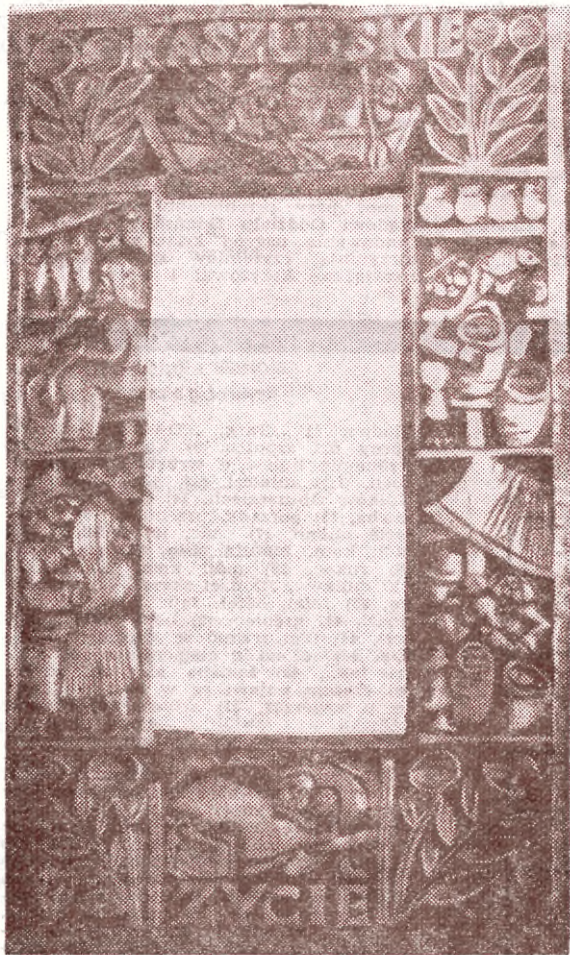
Haslo-z6w: „B6le ce p6rzn6 wspomoc, b6le wspierac nie z6l z6c w n6dze nie z6l i umierac”.

W6ród os6b, k6t6re nadešli, w prz6d-gu dw6ch tygodni od ukazania si6 nu-meru w kioskach ruchu, prawidlowo odczytane haslo fiurofaja, rozlosowa-ne zostan6 nagrody ksi6żkowe.

Siekierą i nożem

Wymienia go Izabella Trojanowska w wydany w 1982 roku przez gdański KAW folderze „Twórcy ludowi Kaszub”. Znajduje się tam również zdjęcie przedstawiające jego rzeźby i płaskorzeźby. On sam ma jednak poważne wątpliwości czy pasuje do niego to określenie, gdyż uważa, że na takie miano zasługuje ktoś, kto uprawia twórczość samorodną, nie traktuje jej profesjonalnie i jednocześnie jest głęboko zakorzeniony w regionie, od którego tradycji w tej czy innej dziedzinie sztuki ludowej nawiązuje. A on? Z każdym z tych kryteriów jest na bakier.

Józef Ciężki nie pochodzi z Kaszub. Urodził się na Śląsku, jego dziadek był górnikiem we Francji i dopiero po II wojnie światowej powrócił z rodziną do Polski. Ojciec jest Grekiem. Na Kaszubach, a konkretnie w Kościerzynie Ciężcy mieszkają od piętnastu lat. W przypadku Józefa w tym pobycie na-



stąpiła ponadto kilkuletnia przerwa, gdy uczęszczał do Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie. Z tego wynika zarazem, że ma przygotowanie profesjonalne. A jeśli dodać jeszcze, że trudni się rzeźbiarstwem zawodowo, że stanowi jego główne źródło utrzymania, a pracownia rzeźby, którą otworzył jest traktowana jako warsztat rzemieślniczy...

A jednak rzeźby Ciężkiego mają związek i z Kaszubami i ze sztuką ludową. Nawiązuje on bowiem do motywów ludowych, odwołuje się do wzorów, które wykształciły się w regionie kaszubskim, przetwarzając je i podporządkowując własnej wizji artystycznej.

Zaczął rzeźbić już w szkole podstawowej. Nauczycielka, która spostrzegła, że ma w tym kierunku uzdolnienia, zachęciła go do ich rozwijania. — Przyносила mi klocki, a ja rzeźbiłem, jej królów — powiada teraz o tym początkowym okresie, gdy sam



trud wydobycia z drewna postaci był ważniejszy niż to, co przedstawiała. Motywami regionalnymi zainteresował się dopiero później, już po powrocie ze szkoły plastycznej. Mówi, że początkowo największe wrażenie wywarła na nim stara architektura kaszubska, którą dziś można oglądać głównie w skansenie wdziedzim. Miał kolegę w Nowym Barkoczinie, stała tam taka piękna stara checz, w niej zachowały się dawne naczynia.

— Bardzo mi się podobały. Wypolerowane od długiego używania, błyszczące jakby były wysmarowane tłuszczem, wydawało mi się czuć zapach ryby uwieczniony w ich wnętrzu. Zacząłem robić naczynia, zainspirowany tymi, które tam oglądałem. Odtąd też coraz częściej i moje rzeźby były związane tematycznie z regionem kaszubskim.

Przez dłuższy czas źródłem inspiracji była muzyka kaszubska. Lubił występy zespołów pieśni i tańca, kapel ludowych. Słów często nie rozumiał, ale pociągała go sama muzyka, jej wesołość, nastrój, który tworzyły zespoły, zwłaszcza podczas występów w plenerze, nad jeziorem. Rzeźbił kapele, muzykantów, powstała cała galeria postaci z instrumentami. Nie są to rzeźby realistyczne, nie utrwała tego co odchodzi, przemija, chociaż są twórcy, którym taka rola w zupełności wystarcza. Od utrwalania jest fotografia, taśma filmowa, od sztuki wymaga się więcej. Jak napisał w wierszu (próbuję swych sił i w tej dziedzinie) zwracając się do pachnącej żywicą deski lipowej: Wsluchuję się w ciebie by zrozumieć twój głos podpowiadający mi sens, już go słyszę, już rozumię, tak, opowiem o miłości, pejzażu, smutku i nadziei, opowiem całą prawdę o tej ziemi”.

Nie stroni od wytworów użytkowych. Od pewnego czasu wykonuje bogato zdobione ramy do luster i skrzynie. Nawiązuje w tym przypadku do tradycji także formą wyrobu: na Kaszubach były w powszechnym użyciu skrzynie, szczególnym pięknem odznaczały się skrzynie wyprawowe. Te dawne były malowane, zdobione głównie motywami roślinnymi. Skrzynie Ciężkiego są rzeźbione. Dłutem, siekierą i nożem szewskim „opisuje” na nich sceny z życia Kaszubów. Te wyroby, mimo wysokich cen, cieszą się dużym wzięciem. Pomimo statusu rzemieślnika i pokus, jakie niesie powodzenie u nabywców, pokus, żeby przystąpić do produkcji seryjnej, jak dotąd nie zdarzyło mu się, żeby zrobił dwie takie same ramy do luster czy dwa identyczne kufry. Takie pójście na łatwiznę zgubiło niejednego twórcę.

W pracowni mieszczącej się w piwnicy domu jednorodzinnego ogląda się nie tylko rzeźby „kaszubskie”. To jeden nurt twórczości. Inny to rzeźby sakralne, które cechuje strzelistość, uzyskana przez sztuczne zdeformowanie postaci, nawiązuje tu do gotyku, w którym „chodziło o jak największe zbliżenie do nieba”. Niektóre rzeźby, jak choćby ostatnio ukończone „Macierzyństwo”, zawierają duży ładunek inwencji i artyzmu. Józef Ciężki, 27-letni rzeźbiarz z Kościerzyny swoje credo wyraża w prostych słowach: — Staram się wydobyć z klocka to co on ma do powiedzenia. Ale nie ograniczam się do wydłubania po wierzchu tego co ma w sobie, gdyż twórcą byłaby wówczas natura a nie ja.